..DZKOSC LITUIĄCA SIĘ.

CZYLI

OBRAZ

..ĘDZY LUDZKIEY

..RAGI-KOMEDYA

W PIĘCIU AKTACH.

..ZEZ IOZEFA HR. JUNOSZĘ ZAŁUSKIEGO

..SKUPA KIIOWSKIEGO KAWĄL. ORD. ORŁA B.

EDYCYA DRUGA.

..A POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI.

..W WARSZAWIE ROKU 1795.

AKTOROWIE.

NĘDZARSKI *Szlachcic.*
KLARYSSA *Zona* Nędzarſkiego.
MARYSIA *Córka.*
LITOSNICKA *Wdowa.*
KOCHANSKI *Staraiący się o przyiaźń* Marysi.
STARUSZKIEWICZ *Oyciec* Kochańſkiego.

Inſtygator.
4. Zołnierzy.
Dziecię ięczące w Alkierzu.

Scena w Kosmopolu Mieście Sarmackim.



AKT I.

SCENA I.

MARYSIA i LITOSNICKA.

LITOŚNICKA.

Upraszam W. M. Panny, iak o naywiększą łaſkę, abyś raczyła przyiąć mile te liche uſługi, z ktoremi się oświadczam. To prawda, żeś się W. M. Panna w takim ſtanie rodziła, żebys się nie powinna znaydować w potrzebie i biedzie. Jać wprawdzie uboga Wdowka pracą rąk żyiąca, ale mam pełne politowania serce; a ieżeli kiedy czułam w sobie chęć iaką poratowania w cięzkiey potrzebie, to dziś naygwałtowniey z przywiązania do osoby W. M. Panny. Jeſteś W. M. Panna z natury tak łagodną, tak dobrotliwą, tak.....

MARYSIA.

Moia Sąsiadko serdecznie kochana! Jakże mię ta uprzeymość Waszeci obowięzuie!

Jakżebym sobie życzyła mieć tyle zasług, abym iey była godną! Jakżebym sobie życzyła mieć sposob iaki zawdzięczenia . . . . .

LITOŚNICKA *żywo mowi.*

Niczego mi nie trzeba . . . . bez interessu służę . . . Szczególnie W. M. Pannie służę dla ukontentowania, które czuię że iey służę . . . . Ah! ieszcze W. M. Panna dobrze nie znasz mego sposobu myślenia . . .

MARYSIA.

Już ci ia to widzę dobrze moia Pani, że się interessem nie uwodzisz; gdybyś była interessowana, to byś się nie przywięzywała do naszey nieszczęśliwey Familii. Ale iakom rzekła, nic nam teraz nie brakuie, i to naczynie wody, coś mi Waszeć dziś rano przyniosła, ieszcze wystarcza.

LITOŚNICKA.

Bywayże zdrowa moia kochana Panienko. (*sama do siebie mowi*) Tęgo od trzech dni mroz straszny dokucza. Ta tu uboga Familia bez opału zmarznie . . . . muszę się postarać . . . . *odchodzi.*

MARYSIA.

Adieu moia kochana Pani . . . . Miłyż Boże! i także politowanie nad cudzym nieszczęściem nie mieści się tylko w sercach Ludzi ubożuchnych! Nędzarze cieszą biedę swoię iak mogą, i sami się ratuią w potrze-

bach swoich, widząc maiętnych i bogaczów na siebie niemiłosiernych! Zwierzaią się iedni drugim swego niedostatku, szukaiąc niby iakiey z politowania ulgi; a my Szlacheckiego urodzenia pyszałki, iedno ambitu igrzysko, który nas nie odstępuie razem z fortuną, choć iuż na ostatnim mizeryi stopniu, nie śmiemy oczu zastanowić nad naszym niedostatkiem!. Ale co widzę! Kochański się powrócił z drogi. Czy ieno nie miłość go do mnie zwabiła? Ale co ma miłość za sprawę z biedą, z nędzą, z niedostatkiem!

SCENA II.

MARYSIA y KOCHANSKI.

KOCHANSKI.

Ah! nieszczęśliwa Marysiu! gdzież się to tu mieścisz? Jakaż to gospoda dla zacnego urodzenia Panienki? Zbiegałem całe Miasto, i ledwiem się dopytał o tym kąciku. Ah serdecznie kochana Marysiu! Trzy miesiące oddalenia się, czyż mie nie pozbawiły tego, co mi iest na świecie naymilsze? Czy mię nie zarzuciłaś w niepamięci? Czy moia osoba ieszcze, iak była dawniey, tak i teraz W. M. Pannie wdzięczna?

MARYSIA.

Zrzódło naszego wzaiemnego przywiązania tak ieſt czyſte, iak moie serce; W. M. Pana ſtatek ieſt mi rękoymią iego szczerości, i byłabym iey nie godną, gdybym się z niey nie cieszyła. Ależ nie ſtety! (*wzdycha.*)

KOCHAŃSKI.

Ale dla Boga! coż to znaczy to głębokie weſtchnienie? Nie odwracay W. M. Panna pięknych swych oczu od tego, który z ich weyrzenia ieſt uszczęśliwiony. Ah! przebóg! co widzę! czytam na twarzy znaki melancholii! Oczy W. M. Panny łzami się oblewaią... ięki gwałtem się dobywaią z piersi. Marysiu! moia serdecznie kochana Marysiu! czyż możesz mieć co taynego i sekretnego przed twoim duszą ziędnoczonym kochankiem, który cię nadewszyſtko kocha? Czy możesz W. M. Panna powątpiewać o moim szczerym i ſtatecznym przywiązaniu, i chęci ſłużenia iey iako i całey Jey Familii?...

MARYSIA.

Bynaymniey nie wątpię.

KOCHANSKI.

Więc tedy racz mi W. M. Panna wyiawić przyczynę swoich troſkliwości. Jeżeli nieodważę się hoyną ręką ugłaſkać srogość fortuny, to przynaymniey dobra rada potrafi osłodzić gorycz niedoli waszey.

MARYSIA.

Gdybym potrzebowała rady, znalazłabym ią u arcykochanych i kochaiących Rodziców. Są pełni sprawiedliwości, i maią mię iak zrzenicę w oku. Przyznam się W. M. Panu, gdyby niedola moia była mnie samę dotykaiąca, nikomubym się iey niezwierzyła, tylko samemu W. M. Panu. Chwalę ciekawość W. M. Pana, ieſtem iey wdzięczna, ale nie mogę sekretu wyiawić.

KOCHANSKI.

Ah Marysiu! i na coż się przyda, to taić, co oczy me widzą? Wiadomo mizeście przegrali sprawę waszę, dla którey tu przybyliście. Wiadomo mi, że w iedney waszey maiętności ogień wszyſtko zagarnął znacznym pożarem, a w drugiey nagła powodź wszyſtko zatopiła, i dowiedziałem się o tych wszyſtkich przypadkach z cudzych uſt, a nie z twoich Marysiu? Odſtąpiliście ſtancyi przyſtoyney, porządney, wymeblowaney należycie, a mieście się w tey mizerney chatce: ani ruchomości, ani czeladzi tu nie widzę. Y iakże się nie mam domyślać co to znaczy!... Marysiu czy szacuiesz moię przyiaźń?

MARYSIA.

Bardziey niż kogo żyiącego po Oycu i Matce.

KOCHANSKI.

Otoż racz sobie przypomnieć nasze wspolne przysięgi, zechciey zważyć obowiązki i prawa, które miłość kładzie na moie serce, a pomyśl co mogę uczynić dla was w teraźnieyszych nieszczęśliwych okolicznościach waszych.

MARYSIA.

Kochasiu! wiesz o tym dobrze, że enoty twoie są głęboko wyryte w pamięci moiey. Co mowię! serce moie obecności twoiey powabem pociągnione zapomina, żeśmy sami, i że noc się zbliża. (*chce odchodzić, ale Kochańſki ią przytrzymuie.*)

KOCHANSKI.

Ah czegoż się lękać możesz? Głos, weyrzenie, mowa twoia nie wzniecaią we mnie tylko głęboki a uczciwy respekt.

MARYSIA.

Nie mogę się lękać tego, któregobym rada miała wszyſtkich moich poſtępków świadkiem... ale sama siebie respektować muszę. Y gdybyś mię W. M. Pan dobrze znał, i wſkroś moie myśli przenikał, nie domagałbyś się ofiary moiey w tey mierze delikatności.

KOCHANSKI.

Ale gdzie moy Przyiaciel Jmć Pan Nędzarſki? gdzie poczciwości zwierciadło Kla-

ryssa? oboie nie wracaią się do Domu przy nocney porze! pod taki czas kiedy tęgi mroz każdego przytrzymuie przy kominie i piecu! dawniey niezwykli byli odstępować cię na krok kochani Rodzice.

MARYSIA.

Wkrótce się wrócą, tak me serce przeczuwa; skoro przybędą, będzie W. M. Panu wolno rozmawiać ze mną w ich przytomności, a mnie wolno słuchać iego rozmowy.

KOCHANSKI.

Słucham tedy rozkazu..... Ale iakieś stękania słysze w tey bliskiey izdebce?

MARYSIA.

Są to ięki mego Braciszka, choruie od sześciu dni, i ia go doglądam.

KOCHANSKI.

Niechże uściskam i ucałuię to piękne dziecię.

MARYSIA.

Y także mię szukasz zasmucać? Alboż W. M. Pan sądzisz, że nie dość sobie czynię gwałtu i ciężkości w naleganiu o rozstanie się! Powrócisz W. M. Pan po chwili, i przywitasz całą naszę Familią, która W. M. Pana szczerze kocha, i których dolegliwości wzbudzą w sercu W. M. Pana dotkliwość.

KOCHANSKI.

Już tedy muszę odeyść. Adieu. Tak mię martwi odstąpić was w niedoli waszey, żebym chętnie czekał na Oyca W. M. Panny u drzwi, nie uważaiąc na zimno, gdyby mię nie pociągała powinność przywitania kochanego Oyca mego, któregom ieszcze nog od powrotu nie uściskał.

SCENA III.

Sama MARYSIA.

MARYSIA.

Oddalać Kochanka od siebie dla uczciwości, iest to cięższki i gwałtowny płci moiey obowiązek. Ale coż dopiero taić mu stan nieszczęśliwy, który serce moie trapi i dręczy? Sekretem pokryć niemiłosierne ubostwo i niedostatek, dla którego przyidzie mi go postradać na zawszę! Co mowię! dla wstydu pogrążyć i zostawić w ostatnim upadku serdecznie kochanych Rodziców..... Mocny Boże! niewiem w którą stronę się obrócić... Ah! iakież smutne przeczuwanie moich rospaczy! Gdyby był nalegał moy Kochanek ieszcze moment iaki, byłabym mu wszystkę taiemnicę wyiawiła, a tak pierwszy raz w życiu stałabym się Oycu kochanemu nie posłu-

szną, Oycu tak dobrotliwemu.. tak kochanemu.... tak czci, poszanowania i posłuszeństwa godnemu!... Ah! podobno iuż do tego przyidzie, że odkryię Kochankowi memu i Przyiacielowi naszę niedolą i nasz niedostatek!" Ani wątpie, że iuż daley Oyciec nie rzecze, że to iest przedawać Córkę, wydawać ią na sztych dobrodzieystwom i hoynościom młodzika, właśnie iak gdyby się dobroczynność mogła mieścić z podłością w iednym sercu; a ieszcze w sercu Jmć Pana Kochańskiego. Ah! gdybym takie miała mniemanie o Rodzicu moim, iakżebym była nader nieszczęśliwą!

SCENA IV.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA.

Ah! moia kochana Cór o!

MARYSIA.

Ah! moia serdecznie kochana Matulenku!

KLARYSSA.

Ah dla Boga! iakżeś mi się to zmieniła! ah iakżes zbladła! Na cożby mi się przydało daley o tym milczeć! serce mam ściśnione widząc cię tak znędzniałą! Jakże się ma twoy Braciszek? słabość iego wieku i gó-

rę biorąca choroba wymaga pilnieyszego niż koło ciebie ſtarania, ale was zarówno i nierozdzielnie w sercu moim mieszczę. (*całuie ią*)

MARYSIA.

Gdybyś wiedziała serdecznie kochana Matko! co wycierpiało to głodem zemdlone dziecię! wszyſtkie iego myśli dążyły ku tobie Matuleńku! ſto razy powtarzał te ſłowa: Ah! kochana serdecznie Matusia fatyguie się dla mnie! poszła żebrać u krewnych, i wyprosić dla mnie posiłek.... Ah! iakże mi Jey żal! Nieochybnie iak powróci do domu będzie zemdlona z podiętey dla mnie fatygi. Przeziębnie znać przy tak zimney porze, a to wszyſtko dla mnie, którym się w niczym nie zasłużył dla niey!.. Ale się bardzo lękam, żeby ten posiłek nie był opoźniony, iuż to pono będzie po czasie.

KLARYSSA.

Ah miły Boże! nie wyżebrałam żadnego dla kochanego dziecięcia posiłku! Będę go całowała, ściſkała, do serca przytulała, łzami oblewała, bo inszego dla niego nie mam pokarmu i napoiu!

MARYSIA.

Ah przebog! co się dzieie! wczoray nam na wszyſtkim nie zbywało, a teraz nadzieia pełznie nawet w przyszłe czasy!..

KLARYSSA.

Opowiem ci wszyſtko . . . Wybiy ſobie Córko okropne myśli z głowy . . . Ale i sama czuię wielkie w sobie pomieszanie . . . Radabym, żeby zaczęło świtać, zamiaſt że się zmierzchło . . . Naywiększe nieszczęścia, iako i naywiększe zbrodnie zwykle przypadaią pod nocną porę. (*Bieży do Syna.*)

MARYSIA.

Y takżeto wszyscy pomrzemy głodem! rodzaiem śmierci tak podłym! . . . A za cóż podłym? a iakże nazwać przyidzie śmierć z lubieżnych zbytkow, czyli z wielkich zbrodni zaciągnioną? Owoż oſtatni szczątek znaczney fortuny (którey nieprzyiaźni Oycu memu zazdrościli:) kilka węgli w popiele, do których iuż nie mam co przyłożyć z drewek . . . . Lampa dogorywaiąca bez oliwy swym cieniem przymnaża okropności... Troſki Matki kochaney, ięki kochanego Braciszka... smutne przeczucie moich rospaczy.. Ah! ta dogorywaiąca lampa czyż to nie pochodnia przyszłych naszych pogrzebów! Ah! Boże miłosierny!.. odwróć odemnie te myśli trapiące i troſkliwe... Niech się wcale zgadzam z Twą wolą świętą.

KLARYSSA.

Moy mąż czy nie poſtał tu od samego rana?

MARYSIA.

Nie postał Matuleńku.

KLARYSSA.

Y gdzież się bawi przebóg!

MARYSIA.

Wychodząc rzekł do nas te słowa: wszelkiemi sposobami poydę starać się o ratunek w naszym ciężkim niedostatku... Coś nawet przebąkiwał, że się nakłoni na czyn iakiś podły, aby nas wydzwignął z tey toni, pod ten czas zimney pory i tęgich mrozów.. Jakże ciężka rzecz co uprosić od tych, którzy biedy nie znaią, i niczego nie potrzebuią!

KLARYSSA.

Z własnego doświadczenia wszelką tracę nadzieię. Noc ciemna i okropna, a mąż moy nie przyśpiesza powrotu, aby swym obliczem rozweselił w smutku i ostatniey rozpaczy będącą Familią. Ah! dla Boga! coby było z nami! gdyby zrażony nieużytością ludzi zakamiałych miał nas odstąpić, a wcale odstąpić w tym niedostatku!

MARYSIA.

Ah Matuleńku! wybiy sobie tę myśl z głowy, masz serce iego w ręku.

KLARYSSA.

Gdyby (ubroń Boże) rozum pod ciężarem nieszczęśliwości upadł..... Wielki smutek w waryacyą wprawia... Tyle Filozofow

zachwalaią samoboyſtwo!... Tyle widziemy przykładow, tyle czytamy podobnych przypadków...

MARYSIA.

Nie lękay ſię tego Matuleńku... Oto przybywa do nas.

SCENA V.

NĘDZARSKI, KLARYSSA MARYSIA.

KLARYSSA.

Kochany mężu! i ktoż cię tak długo przytrzymał?

NĘDZARSKI.

Opowiem ci, ſkoro dziecię uściſkam i ucałuię.

KLARYSSA.

Jak sądzisz Córko? czy z prożnemi rękami powrócił?

MARYSIA.

Prawdziwie nie uważałam rąk, alem tylko patrzała na oczy iego pełne miłości i dobroci, tak właśnie iak twoie, kochana Matuleńku.

NĘDZARSKI.

Wpośrzod nich ſtanąwszy, i raz na żonę drugi raz na Córkę pogladaiąc.

Słuchaycie naymilsze Przyiaciołki! spieszyłem się do was z powrotem, aliści widzę człeka na ziemię upadłego w samym rynku... Poznałem go, że to był ow głowny nieprzyiaciel moy, który mię fałszywym udaniem i potwarzami zruynował w kredycie u Dworu, co było pierwszym nieszczęśliwości moich zadatkiem. Zdrętwiał był z tęgiego zimna, i ledwie dyszał. To widząc, iże wszyscy go miiaią i unikaią, łubo sam przeięty mrozem, iedną ręką dzwigam go z ziemi, a drugą odwracam wozy i karety, któreby go były roztratowały. Biorę go na ramiona, i niosę go do Kowala blisko mięszkaiącego, abym go przy ogniu w kuźni mogł rozegrzać i ożywić.

MARYSIA.

Po tym uczynku poznaię miłosiernego mego Oyca.

KLARYSSA (*razem*)

Po tym uczynku domyślam się miłosiernego mego męża. Taką cnotą tak moie serce rospalasz, że chociażes tak nieszczęśliwy między wszystkiemi żyiącemi, obrałabym cię sobie za oblubieńca, gdybyś iuż nie był moim mężem. O! iakże mię ta twoia cnota wysoka w zadumienie wprowadza! Ale iakaż fatalność tyrańska losow życia? Twoy prześladowca znayduie w twoiey osobie dobrotli-

brotliwego przyiaciela, a w ten sam czas twoy syn niewinny... twoy syn umiera z zimna i głodu.

NĘDZARSKI.

Kochana żono, co mowisz? Albożmoie dzieci nie uśmierzyły głodu, srogiego chlebem, po któryś chodziła do twych dawnych przyiaciołek?

KLARYSSA.

Zwierzyłam się pod sekretem Xiędzu Plebanowi niedoli naszey, żebrząc, żeby mię zaratował z kassy ubogich Parafianow, ale mi się wyexkuzował naciſkiem ubogich zacnych familiy, dla których się w podziele wyprożniła... Tylko mię ubolewaniem zbył i obietnicami.

NĘDZARSKI.

To mi nie dziwno; daleyże.

KLARYSSA.

Potym nawiedziłam owę Panią bogatą, co się oświadczała ku mnie z swoią przyiaźnią, kiedyśmy były z sobą w Klasztorze Panien Wizytek, i potym kiedym opływała w szczęściu i doſtatku.

NĘDZARSKI.

Y coż? czyś opowiedziała iey nasz ſtan? serce iey czy się nakłoniło?...

KLARYSSA.

Rzekła mi: wszyſtkiemu temu wierzę, co mi powiadasz, i ieszcze się więcey o przykrości nieszczęścia waszego domyślam. Miałabym chęć nieſkończoną was podzwignąć. Jakże to chwalebny ieſt czyn podać rękę upadłemu! Ale czasy teraznieysze ciężkie, i haniebna drożyzna niepozwalaią . . .

NĘDZARSKI.

Y także Boże! który się mianuiesz ubogich Oycem, masz o nich ſtaranie?

KLARYSSA.

Ah mężu! co czynisz? Nie tak się lękay nas poſtradania głodem, iako utracenia łaſki Boga złorzeczeniem. Bóg wszyſtkowładny surowo karze szemrania choć w rospaczy wybluźnione. Ale ty mężu (nieszczęśliwy Oycze) czyś nigdzie nie znalazł wnętrzności i serca do politowania nakłonionych?

NĘDZARSKI.

Jużem wszyſtkie utracił nadzieie. Widzisz mię opuszczonego od przyiacioł, wzgardzonego od wspołkonkurrentow do wszelkiego urzędu, beż żadnego wcale sposobu i proiektu. Nie mam iuż nic do przedania tylko tę podłą sukmanę, która mię okryć ledwie potrafi, nie żeby miała ogrzać. Szabla moia oſtatni zaszczyt ubogiego Szache-

ctwa, zaſtawna u Lichwiarza, poszła dwa dni temu na posiłek oſtatniego mizernego obiadu naszego.

KLARYSSA.

Bez żadnego sposobu! bez żadnego proiektu!

MARYSIA.

A owa piękna Pani, której córki, Mateńku, w naukach kształcisz sekretnie, ponieważ ieſt Matką, niepodobna żeby nie miała mieć wnętrzności macierzynſkich.

KLARYSSA.

Byłam u niey dzisiay o zwykłey godzinie. Po ſkończoney lekcyi, pozwoliłam sobie szczególney nieszczęśliwych osob folgi, i opisuiąc moy ſtan nieszczęśliwy rozpłakałam się rzewliwie. Nieſtety! Niespodziewałam się, aby ten poſtępek miał być w oczach czyich zbrodnią!

NĘDZARSKI.

Co słyszę zbrodnią? miłyż Boże! Krolewicowie i bogaczów synowie powinniby Ludzi nieszczęśliwościami obarczonych przyimować za Metrów, a nie podłych zauszniczków, którzy ich dobre serce psuią. Pod takiemi Mentorami ſtaliby się ludzkiemi, hoynemi, litościwemi....

KLARYSSA.

Z tym wszyſtkim owa Dama nachylona w poręczowym krześle, upiżmowana, wyblechowana, umalowana i wypiękrzona, iak Komedyantka iaka, zacznie miotać na mnie wszyſtkie te pospolite wyrzuty, których osoby zbogacone przez podłość serca zwykły nie oszczędzać względem upośledzonego w fortunie. Rzekła mi głupie i zuchwale: że iey dzieci nie są takiey kondycyi, żeby miały znać ubogich, i poznawać ſkutki ubóſtwa: że nic nie masz podleyszego, iak nad taką zaſtanawiać się mizeryą, że takie załośne ſkwierki i utyſkiwania, któremi iey dzieci bawię, na nic się nie zdadzą, chyba żeby we śnie marzyło im się o biedzie i nędzy: że ich ſtan nie pozwala im być tak ludzkiemi, iak ieſt lud gminny i pospolity. Te usłyszawszy wyrzuty, zacznę ią przepraszać, a oraz prosić o kwartał pieniężny. Ona nic nie słuchaiąc, ze śmiechem ſkoczy pędem, ſkoro uyrzy wchodzącego do izby kawalera, tak przepysznie iak i ona wyſtroionego, a ten kawaler byłto twoy synowiec iedynak.

NĘDZARSKI.

Czy uwierzysz temu kochana żono? że na ſtronę uchyliwszy wszelką urazę, nawiedziłem iego Oyca, ſtarszego mego Brata,

(odrodnego Brata) naywiększego mego prześladowcę! przez zazdrość, którą w sercu iego dzikim wznieciły Matki naszey dla mnie preferencye.

KLARYSSA.

A gdzieżeś moy mężu mogł zastać tego, który uczęszcza do pałaców Panów maiętnych? do których nędzarz nie ma przystępu.

NĘDZARSKI.

W iego własnych progach przyszło mi się upokorzyć. Po trzygodzinney stoyce i przeczekaniu na audyencyą, upatruię go z antykamery wychodzącego z bogatych gmachow, z czołem w górę wyniesionym; skoro mię uyrzał, wzdrygnął się z gniewu, i wskoczył do karety, wołaiąc na woźnicę od siebie uczynnieyszego, aby konie zacinał; i tak mię zostawił ze wstydem wpośrzod podłych sług swoich bogato przybranych.

KLARYSSA.

Ah! iuż też to ostatni szczątek sromoty!

MARYSIA.

Nie dość, że nas opuszczaią, ale się z nas ieszcze urągaią!

NĘDZARSKI.

Y coż poczniemy pod tę porę nocy okropney?

KLARYSSA.

Już nam drewek nie stało na ogrzanie zemdlonych członków.

NĘDZARSKI.

Czyż można będzie oko zawrzeć przy tym chłodzie i głodzie! głod, pragnienie, wstyd, rozpacz, zimno, strach, ięki dziecięcia....

MARYSIA.

O kochani Rodzice! na iakiż przychodzicie koniec! i cożeście mieli za przyczynę nie dopuszczać mi, żebym was pracą rąk moich żywiła? Nie masz wstydu dorabiać się chleba dla tych, do których kochania i natura sama i wdzięczność pociąga. Niestety! wychowaliście mię, iako pupeczkę iaką w pieszczotach, a ta się na nic nie przyda. Teraz z głodu giniecie, a iabym była mogła was zachować pracą rąk moich. Zazdrościliście mi chwały i chluby, którąbym była miała zatrzymuiąc przy życiu tych, którzy mi życie dali....

KLARYSSA.

Zaniechay iuż tego narzekania, nie czyń się ieszcze kochańszą sercu memu przez takie wymowki pod ten czas, kiedy mi cię utracać przychodzi.

NĘDZARSKI.

Słuchay Marysiu: iesteś młodą, a mogę przydać, w tey niedoli, która nic nie pozwala chlubie... iesteś i młodą i piękną. Te przymioty przy szczęściu i fortunie nie są niebezpiecznemi. Głupi respekt, który zwykle maią ludzie na bogactwa, rozrywki ustawiczne, wykwintność w stroiach, staią się przeszkodą zdradzie kawalerów w zdeboszowaniu panienek. Ale czym się oprze wyuzdaney młokosków swywoli panienka ubożuchna, która maiąc wstyd na czele, a łzy w oczach szuka kupca na pracę rąk swoich? O Marysiu, Marysiu! wiedz o tym, że znayduią się ludzie tak bezecni i bezbożni, co nie mogą uyrzeć krasney urody w nędzy i niedostatku, aby zaraz nie mieli zapalać się lubieżnemi żądzami w sercu.

MARYSIA.

Ah! iacyż to ludzie lekkomyślni!

NĘDZARSKI.

Ponieważ ludzie zbogaceni zdzierstwami swych przodków, ludzie nie znaiący inszego chuci hamulca, tylko zamiar ich władzy, miasto prawa rygoru doznawaiący codzień skutku niekarności, zwykle za kredytem idący, są to wyuzdani na wszystko złe deboszniey, zwykli łączyć wespoł w imaginacyi zepsowaney, nieszczęśliwość nędznego

ſtanu Szlachcica z podłością urodzenia lub życia wyſtępnego; a co nieznośnieysza, maią sobie ubogie osoby za hołdownicze swym przemierzłym i niegodziwym uciechom... Ah iakże mi żal zem się tu sprowadził do tey ſtolicy! gdzie zbytki górę wzięły nad cnotą, gdzie ludzie na kolana padaią przed nową modą, gdzie zacność i godność przy chudobie ſtaieſię nikczemnym igrzyſkiem, i dzieci przy piersiach cackiem Ah! iakżem pobładził! Zdawało mi się że mi tu uydzie, wzgardzać złotem dla cnoty, fałszywą polityką dla uczciwości obyczaiow, obcowaniem z Panami dla proſtey, i spokoyney przyiaźni! Zginąłem dla zbytniego bezpieczńſtwa, i dla ſtatecznego uporu! ktory gardziłem ślepą fortuną i iey nieuczciwemi drożkami... Zginąłem nie rozważaiąc rozmyślnie przepaści, w którą mię prowadziła ścisła cnota. Miłyż Boże! człowiek który się nie rodził na to, żeby się moſtem słał przed ludźmi nikczemnemi, bywa czasem przymuszony do tey serca podłości, a ieszcze powątpiewa o swoiey niedoli.

KLARYSSA.

Gdybyż przynaymniey nas nawiedził ow poczciwy Pan Staruszkiewicz hoyny i litościwy! co ongi nas obdarzył, a w cieniu nocney pory zataił i imię i szczodrotę swoię.

MARYSIA.

Pan Kochańſki w przedsięwzięciu swego ku mnie przywiązania ſtateczny, był tutay wkrótce przed twoim, Matuleńku, powrotem.

KLARYSSA.

Pan Kochańſki zaś? Ah! kochany mężu! Bóg nam go z nieba spuścił: Już odtąd nie upatruy w nim konkurenta o naszę Córkę, ale poufałego przyiaciela twego. Alboż ci nie ma wielkich obligacyi? Nieznawszy go, wyrwałeś go z rąk nieprzyiacielſkich krwią zbroczonego, wszakżeś go gwałtem do obozu zaprowadził razem z Proporcem, co go nie chciał odſtąpić do samego życia schyłku.

NĘDZARSKI.

Ah! co mi ſtawiasz na pamięć dzień ten fatalny? gdzie sława moia i wziętość tak była publiczna, iako i odmowienie ſtopnia mnie przyzwoitego i dobrze zasłużonego. Ah! Ah nieſtety! gdyby mnie nie był potkał ten affront, nie porzuciłbym był aż do grobowey deſki rzemiesła woiennego; ta ręka spolnie z ochotnym sercem ieszczeby się zasługiwała Oyczyznie; miałbym rangę, gażę, sposob życia do zgonu, Córka nasza miałaby posag... Nie morzylibyśmy się głodem...

KLARYSSA.

Jdźże iuż do tego przyiaciela twego, oświadcz mu się z affektem...

NĘDZARSKI.

Toć iuż zezwolić muszę... Ale niewiem iego mięszkania odtąd, iak ranionym zostawszy, porzucił służbę woienną...

KLARYSSA.

A ty Córko nie wiesz o nim?

MARYSIA.

Nie wiem, i nie znam tylko cnoty iego, i ... miłość.

NĘDZARSKI.

Toć iuż cały świat zprzysiągł się na zgubę naszę!

KLARYSSA.

Ah! co słyszę! Dziecko ięczy i szlocha... Ah! co widzę! u Córki łza łzę pobiia!

NĘDZARSKI.

Ah! iakaś mi się fatalność w zmysłach pomięszanych snuie!

KLARYSSA.

To masz, czegoś szukał w twym uporczywym *punkcie honoru*! Szukay teraz nieszczęsny Oycze sposobów dźwignienia się od ostatniego upadku. Biłeś czołem przed tym bożyszczem, i Familią twoię całą temu poświęcałeś bałwanowi, niechże cię teraz z tey toni wybawi.

NĘDZARSKI.

Nieftety mnie nieszczęśliwemu! O żale wfkroś przenikaiące!... Odbieram złorzeczenia od osoby, która mi na świecie naymilsza!

KŁARYSSA.

Okrutny tyranie! Y tożto pomyślne szczęście, któreś mi obiecywał ftaraiąc się o mnie, wzamian za czyfte moie ku tobie miłości płomienie? Y także na to szczególnie rozżarzyłeś zapały miłości, żebyś tym bardziey zahartował to serce? i także uczyniłeś mię Matką, żebym się zapatrywała na dzieci głodem zmorzone i zimnem zmrożone?

NĘDZARSKI.

Ah! biada mnie!.. Gdybym słuchał teraz poduszczenia oftatniey rozpaczy, przyszłoby pono...

MARYSIA.

Ah! Tatuleńku kochany! Ah! miła Matuleńko!

NĘDZARSKI.

Ale dla Boga! gdzież nas porywa ślepa miłość? O! moie serce! o! moia duszo! O! towarzyszko serdeczna! Y także między nas się maią plątać przymowki i wymawiania, iakie więc bywaią w gminnych ftadłach, których częftokroć ubóftwo nie pochodzi z ucifku i krzywdy, ale z gnusności i głupich

zbytków? Y także naszę niedolą uczyniemy nieznośnieyszą? i przydamy iey większą gorycz wyrzutami iadowitemi (złych ludzi szczególną ulgą) pod ten czas, kiedy serc sobie przychylnych nieſtargany związek ſtać się może iedyną nędzy naszey folgą?

KLARYSSA.

Przebacz, przebacz proszę kochany mężu! w oſtatnim ſtopniu nędzy i żalu poſtawiona zapomniałam o twoiey niezgruntowaney cnocie! Silna ieſt twoia dusza, i cnota iey ſtanie za wszyſtko! Weyrzałbyś niezmrużonym okiem i na śmierć samę nic nie bledniciąc, byleś ią otrzymał z rąk czci i honoru.. Ale płeć moia ieſt boiaźliwsza niż twoia... Jeſtem i Niewiaſtą i Matką... Ah! co widzę w oczach kochaney Córki!... Znaki bliſkiego omdlenia... Ah! nie potrafię daley znosić tey na sercu tyrannii, umierać mi należy pierwey....

NĘDZARSKI.

Ah! pieszczoty serca mego ulubiona Córko! Y czemużeś się rodziła z Rodziców tak nieszczęśliwych! tak od świata całego opuszczonych!

MARYSIA.

Ah nieſtety! wypuść mię Oycze kochany z pamięci, a tylko myśl o Braciszku,

którego ſtokroć powtorzone ięki coraz mnieyszą czynią przywrócenia do zdrowia nadzieię.

NĘDZARSKI.

Słuchay moie serce! Jeszcze się znayduią na świecie cnoty czci godne choć rzadko... Jeszcze można uyrzeć serca naszym podobne! ieszcze sprobuymy, a kołaczmy do drzwi ulitowania... Idę... biegnę...

KLARYSSA.

Zoſtań proszę, mnie należy mieć ſtaranie o pokarm dla dzieci.

NĘDZARSKI.

Nie fatyguy się zaklinam, mnie należy przysparzać i dom opatrywać potrzebą.

KLARYSSA.

Głos Matki bywa dotkliwszy.

NĘDZARSKI.

Wymowa oycowſka miękczy i głaszcze serca.

KLARYSSA.

Stóy dla Boga, nieznośnie zimna pora znowu cię nabawi choroby, która cię dopiero opuściła.

NĘDZARSKI.

Niepozwolę żebyś miała wychodzić o tym czasie; Białogłowa podaie się różnym przypadkom chodząc po nocy. Nie należy ci odſtępować dzieci, ktorych ieſteś iedyną pociechą i wsparciem. Podź do łożka

kochanego dziecięcia, ty kochana Córko. . . Nie przedłużę z powrotem (*wychodzi.*)

KLARYSSA

O! Boże miłosierny! Oycze i Opiekunie ubogich! trzymay go w twey świętey opięce, i racz go utrzymywać przy życiu .... i przy niewinności. (*odchodzi z Córką.*)



AKT II.

SCENA I.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA.

Niech sobie spoczywa kochane dziecię! Miłość ku mnie nie zezwala mu milczeć w przytomności moiey, a nazbyt osłabiało, aby mogło utrzymać długą rozmowę...

MARYSIA.

Oh! Matuleńku kochana! iakąż ci mam wdzięczność, że swą twarzy postawą i łagodnym ułożeniem nie daiesz Braciszkowi poznawać, że nam i iemu zbywa na wszyftkim. Jakiż gwałt musisz czynić naturze, gdy maiąc serce na puł z żalu rozdwoione, nie pokazuiesz tego łagodnością weyrzenia.

KLARYSSA.

Nic niemasz temu trudnego co kocha. Mniey się powinnaś dziwować moim postępkom ku synaczkowi niż kto inny. Ty albowiem Córko kochana od dzieciństwa samego nie tylko nie czułaś nigdy wstrętu, patrząc na ubogich żebrakow, ale przy usługach onym miłosiernych łączyłaś zawsze ludzkość i łagodność, co cnotom dodaie szacunku; i niech będzie Bóg pochwalony, nie iednego nędzarza hoyną podźwignęłaś r ką.

MARYSIA.

Ah! ieżeli utrata fortuny wycisnęła kiedy gorżkie łzy z moich zrzenic, to nie dla czego, tylko przeto, że iuż daley nie przyidzie naśladować przykładów twoich i kochanego Oyca.

KLARYSSA.

Twoy Oyciec, można przyznać, że to iest nayuczynnieyszy z ludzi żyiących. Nie byłoby nad nas szczęśliwszych osob, gdyby nie iego charakter duszy nieprzełomany, nie ow surowy statek, z którym wykonywa cnotę... Ale go nie widać! Jakże iego oddalenie pomnaża moie niespokoyności!

MARYSIA.

Dopiero siodma godzina... Jakże czas zwolna płynie dla tych, co cierpią!.. Jakże

siła czeka nas ieszcze okropnych chwili, niż się pokaże iutrzenka!

KLARYSSA.

Może być, że iutro o tey godzinie iuż pozbędziemy wszystkiey nędzy i kłopotów tego świata! Przyimie nas w swoie łono ta ziemia która nas niechce żywić dłużey. Przestaniemy pieścić się wzaiemnym kochaniem! Już nam nie przyidzie powtarzać oświadczenia naszych zobopolnych chęci, z życiem ustanie miłość.

MARYSIA.

Niech się dzieie wola Pana Boga; ale Matuleńku, dziś rano, była tu Pani Litośnicka wdowa, przyniosła nam wody, i oświadczała się z swoiemi dla nas usługami, iedynie z powodu dobroci serca swoiego.

KLARYSSA.

Pani Litośnicka! Ah nieszczęście! Powracaiąc do domu widziałam, że ią słabą prowadzono, gdyż pośliznęła się i upadła ciężko na gołoledzi, ato w ten czas gdy szła usługiwać nędznym.

MARYSIA.

Fatalność! Takżeto nayczęściey uczynnych i dobroczynnych ludzi nieszczęśliwe potykaią przypadki!... Ale ah moia Matuleńku! Przebóg co słyszę!

KLA-

KLARYSSA.

Nadſtawmy ucha.

MARYSIA.

Na gwałt dzwonią i bębnią z wielkim ludzi zgiełkiem.

KLARYSSA.

Ah! podobno pod ten czas, kiedyśmy się mieli za naynieszczęśliwszych na świecie ludzi, drudzy równie nieszczęśliwi, daremnych używaią sposobów ocalenia przed wszyſtko pożeraiącym pożarem! Pewnie ich lamenta i narzekania przenikaią obłoki z gęſtym dymem, który ie pożera. Zdaie mi się, że słyszę głos Matki... konaiącey, a wołaiącey głośno: Nie mnie ratuycie ale dzieci... dzieci moie!

MARYSIA.

A ia w podobney okoliczności zawołałabym: zaniechaycie mnie, ale ratuycie Matkę.

KLARYSSA.

Czy mąż kochany nie poszedł ratować te osoby! Są to iego czyny zwykłe! Gdyby domagał się iakiey za przysługę nagrody, z tysiąca przysług bliźnim swoim wyświadczonych, ta byłaby pierwsza z nadgrodą. Niedola, w którey zoſtaiemy byłaby wymowką w osądzeniu serca i ...

MARYSIA.

Jeżeli niedoſtatek bywa okropny i nieznośny, to podług mego zdania przeto, że

człeka czyni niesposobnym do uczynności i hoyności...

SCENA II.

NĘDZARSKI, KLARYSSA, MARYSIA.

NĘDZARSKI.

(*wraca się z pośpiechem i mowi:*) Ah! Żono! ah Córko!

KLARYSSA.

Ah! kochany Mężu! Chwałaż Bogu żeś mi się powrócił! Dzieci nasze czyż będą miały czym się pożywić?

NĘDZARSKI.

Córko bierz twemi niewinnemi rękami... te dowody moiey ku wam miłości... Oto masz czym poratować łaknące dziecię. Oto macie chleb na pożywienie... Wkrótce poydę szukać nieco drewek do pieca.

MARYSIA.

Naprzod ucałuię te dobroczynne ręce, co nas żywią, odwilżę ie (bo zdrętwiały z zimna) łzami wdzięczności wytryśnionemi.

NĘDZARSKI.

Poydźcie, posilaycie się... Ah siły mnie odbiegaią! nogi się chwieią podemną... (*upada na ziemię.*)

KLARYSSA.

Mężu! kochany Mężu!

NĘDZARSKI.

O! Boże miłosierny! Boże miłościw; oddaię ci głęboki pokłon. Tyś przenikał serce moie, gdy ta ręka szukała sposobu oddalenia śmierci od dzieci moich mizernych, dwóch niewinnych dusz... prawo twe święte kochaiących...

KLARYSSA.

Mężu kochany! ah Mężu! i skądże te ięczenia okropne! Nigdym cię nie widziała w takich żalach! Ah przebóg! i cożeś złego uczynił!

NĘDZARSKI.

Puść mię.. mam przyczynę upaść na twarz, i błagać Maiestat Boski.. Zal ciężki tak mię zaślepił, żem się zdał powątpiewać o iego surowey sprawiedliwości... Ale uznaię, że słusznie mię karze. Należy mi w popiele i we łzach pokutować.

KLARYSSA.

Y także śmierci szukasz! Y także chcesz mię zostawić w poniewierce? Ah! Boże co widzę! Pot zimny mięsza mu się ze łzami (*ociera mu oczy*) ah! iakże zbledniał, iakże mizernie wygląda: iakże drży iak liście! Podnieśże się, bo mię ta postać twoia zabiia... i coż miałeś za przypadek? i czegoż się mnie wystrzegasz?

NĘDZARSKI.

Nigdym ci w życiu nie zataił sekretu... ale mówmy cicho... trzeba się dzieci wyſtrzegać... Gdym ztąd wyszedł, poszedłem do kilku znaiomych, na rany Chryſtusowe zaklinaiąc ich o iakie wspomożenie. Ah! z iakąż energią wyſtawiałem przed ich oczy oſtatnią familii moiey nędzę i niedoſtatek rzeczy do życia potrzebnych! Jakże serce oycowſkie zdobywało się na żywe wyrażenia, na słowa do politowania wzbudzaiące!.. Wſtyd niewczesny, nic nie uiął memu naleganiu... Sto razy wyiawiłem imię i urodzenie moie, ale wszyſtko to na wiatr poszło... Tak właśnie iak gdyby ciężki i nieznośny mroz mięknąc głazy i ſkały, zakamiał serca ludzi twardolite: iedni mię z urąganiem nazwali ſilutem, drudzy choć mię poznali, mimo przeszli odwracaiąc oczy, wszyscy mię z oſtatnią spotykali wzgardą.

KLARYSSA.

Ah! iakiż z ciebie proſtak! udawałeś się do bogatych, alboż tacy wyrozumieć umięią ięzyk serca? Czy maiąż oni wnętrzności rodzicielſkie? Czyż kochaią oni co na świecie, oprocz siebie samych! Trzeba ci było poyść do ubogich Wdowek, do nikczemnych Rzemieślników w pocie czoła na chleb pracuiących. Tacy, tacy byli-

by się ostatnią chleba bułką z nami dzielili... Ale czekam końca, słucham daley, lecz strach mi serce wydziera z piersi.

NĘDZARSKI.

Ah niestety! Spuściwszy oczy na ziemię we łzach tonące, szedłem wolnym bo zemdlonym krokiem do domu, abym ci ostatnie ze łkaniem powiedział wale, abym wziąwszy dziatki moie serdecznie kochane na kolana, ich łzy gorzkie a niewinne otarłszy, oddawał one Bogu w opiekę iako czyste ofiary, a ducha wypuścił ostatniego w ucałowaniu ich ust niewinnych... W takich zatopiony myślach zbliżam się do domu, aliści moc iakaś nieznaioma cofa mnie nazad.. padam na wznak i mdleię. W tym obłąkane myśli moie zdaią mi się stawiać przed oczy (o Boże! o Żono kochana!) Córkę naszę z głodu dogorywaiącą... a dziecko nożem moim w puł piersi wbitym zranione ze krwią duszę wylewaiące... W tym niewiasta iakaś poważna zawoła na mnie głosem gromiącym, i od grzmotu hucznieyszym tonem: Jam iest natura. Prawa moie przewyższaią wszystkie inne. Zdawało mi się, że mię ręką swą podźwignęła z ziemi. W tym skoczę ślepym pędem w ciasną iakąś uliczkę odludną... Ah! czy byłem pod ten czas dobrze ze snu ocucony! Czy

ſtraszydło iakie nieprzyiazne wiodło mię z przymusem do...

KLARYSSA.

Ah! co słyszę? Ah! nieszczęśliwy człecze! i coż daley w tey odludney uliczce?

NĘDZARSKI.

Przechodził tamtędy iakiś ſtarzec z iednym lokaiem.

KLARYSSA.

To pewnieś go o śmierć przyprawił?

NĘDZARSKI *dużo pomięszany.*

Co mowisz? Ja... Ja zaś miałbym był gwałt czynić prawom natury, które przez całe życie były prawidłem serca mego?.. Y iażbym ofiarował dzieciom i tobie samey cząſtkę chleba krwią zbroczonego ludzką?

KLARYSSA.

Zmyślasz... Zachoway sobie twoy sekret... Nic iuż więcey słuchać nie chcę... Nie chcę i słyszeć o tobie daley... Radabym teraz nienawiść powzięła ku tobie.

NĘDZARSKI.

(oddala się od niey w oſtatnim pomieszaniu załamawszy ręce.)

Ah! Nieſtety!

KLARYSSA.

Ale co słyszę? słyszę kilka osob po wschodach ku nam idących.. Ah mężu! ko-

łacą do nas, a ty się wzdrygasz, i drzysz ze ſtrachu? Coż to znaczy?

NĘDZARSKI (*cicho.*)

Jdż Zono do komory, zamkniéy się z dziećmi.

KLARYSSA.

Lękam się dużo, co to będzie daley?

NĘDZARSKI (*cicho*)

Lękay się tylko przepomnieć pierwszy raz w życiu powinności cnotliwey żony.

KLARYSSA.

Ah dla Boga! mocniey kołacą. Mężu moy kochany! i czegoż kto może żądać tak pożno od ludzi nieszczęśliwych, śmierci tylko czekaiących?

NĘDZARSKI (*cikho*)

Byłem rano u iednego poczciwego dłużnika liczną familią obciążonego, więc nie zezwoliłem, aby go z uciſkiem przymuszano do oddania summy; snać ten widząc nagłą moię potrzebę, przybył do oddania długu według danego słowa... Czy doścże ci na tym?

KLARYSSA.

(*Mocniey kołacą*)

Ah! dla Boga! iakieś mam przeczucie, że.....

NĘDZARSKI.

Y także pierwszy raz w życiu kaprysom się podaiesz?.. Y także woli moiey pierwszy raz się sprzeciwiasz? Zamkniéy się w alkierzu z dziećmi, proszę, obaczemy się wkrótce, i dość czasu będziesz miała do połaiania.

KLARYSSA.

Ah! iakże to nieznośna dla mnie przymowka! Ta naſtroiona iego spokoyność do zadumienia mię i do lękania pobudza. (*odchodzi, a w tym Nędzarſki otwiera.*)

SCENA III.

Inſtygator z czterma Zołnierzami, o krok za niemi pochodnie.

NĘDZARSKI.

Czego żądacie?

JNSTYGATOR.

Nie będę W. M. Pana zaprzątał pytaniami oboiętnemi i zawiłemi, któremi się urażać zwykli ludzie W. M. Panu podobni, u którego na czele wyczytać można cnotę i poczciwość.

NĘDZARSKI.

Pomińmy te pochwały, zewnętrzna poſtać nie popłaca u mnie, a cnota u mnie w sercu nie na twarzy...

JNSTYGATOR.

Owoż o to gra idzie... Gwałt, uczyniono w tym momencie pewnemu Szlachcicowi iednego służalca za sobą maiącemu..... Ten odstąpiwszy Pana szedł za złoczyńcą, gdzie się obróci...

NĘDZARSKI.

Dość na tym. Ja iestem ten złoczyńca.

JNSTYGATOR Y ZOŁNIERZE *razem wszyscy*.

Co zaś W. M. Pan?.. Czyż to podobna?

NĘDZARSKI.

Ja, nie inaczey.

JNSTYGATOR.

Dziwnie mię to zasmuca i czuię.. Trzeba nam tu w każdy kąt zayrzeć..... Zołnierze! nu ieno ruszcie się!

NĘDZARSKI *zmięszany dużo*.

Stoycie przebóg!... Ten alkierz w samey rzeczy zawiera skarby wielkie rzadkiego szacunku, i do których większe mam niż do życia przywiązanie! Jest to Matka... nieskończoney cnoty towarzyszka moia, i dwoie dzieci wszystkiemi przymiotami przyozdobione, które passyami kochać muszę, a byłyby z ostatniey mizeryi pomarły, gdybym był z niebezpieństwem własnym ich nie posilił... Czyż ludzkość sama nie wzbudzi w

sercach waszych politowania nad tą familią niewinną a tak nieszczęśliwą (*Zołnierze się wzbudzaią do litości i ręce załamuią, oręże na stronę oddaiwszy:*) Czyż chcielibyście pastwić się nademną i kaydanami obciążać w oczach żony i dzieci, a tym widowiskiem o śmierć ich przyprawić? (*Jnstygator ręce załamuie.*) Ah! iakież narzekania sztyletemby przeniknęły serce moie! iakbyto był na mnie cięźki taran duszę z piersi wydzieraiący! O moie dzieci kochane! iakiż was koniec czeka? O! żono naymilsza! Na coż ci wychodzi ścisły małżeństwa węzeł serce twe rozweselaiący! Ah! i takaż odemnie cnot twoich nadgroda!

1. Zołnierz.

Azaż cię nie przenikaią te słowa?

2. Zołnierz.

Czyż można nie bydź wzruszonym do politowania?

3. Zołnierz.

Pierwszy raz przychodzi mi w życiu łzy gorzkie wylewać z litości.

Jnstygator.

Domyślam się panowie. Ja w waszych, a wy w moich oczach równie wyczytuiemy dziwne pomięszanie! Czeka nas zobopolnie funkcyi strata, ieżeli się kto z nas odezwie z propozycyą uwolnienia tego iegomości. Ah!

ieżeli wy, coście iuż zahartowali serca, i zwykliście niezmrużonym okiem patrzać na tortury złoczyńcow, czuiecie się politowaniem dotknionemi, znać że niewinność i natura na gwałt ostatniego dobywaią głosu. A czyż na ten głos przypadać nie mamy?

NĘDZARSKI.

Bynaymniey. Jabym się sam kiedyżkolwiek oskarżył, bo do śmierci samey szukam bydź rzetelnym i prawdomownym. Podźmy... a ieśli tli się ieszcze w sercach waszych iskierka miłości bliźniego, zwolna i cichuteńko stąd wynieśmy się, żeby moia opłakana familia nie mogła przez tę noc domyślać się ostatniego zawziętey na mnie fortuny zamachu (*cicho sam za sobą drzwi zamyka.*)

AKT III.

SCENA I.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA.

Co! Przebóg! wyszedł moy mąż z niemi... Poydę za nim, dogonię go, nie puszczę się go na krok ieden. Ah! ah! (*spie-*

sząc pada na schody, i słuchać iey upadek,)
Ah! Boże miłosierny! ah! Marysiu! ah! ah! kochana córko! (*ięktiwym głosem.*)

MARYSIA.

Ah! nieſtety! co widzę! wróć się panie oycze! ratuy moię matkę.

KLARYSSA.

Skwapliwość moia za nim w biegu prędkim, przyprawiła mię o ten upadek.

MARYSIA.

(*podnosi Klarysse, i dźwigaiąc prowadzi do ſtołka przy lampie.*)

Ah! matuleńku! czy nie masz iakiey rany?

KLARYSSA.

Sama nie wiem, śmierć mi w oczach ſtoi! wszyſtkie bole opanowały mi serce! gdyby mi żyłki wyparano, nie czułabym więcey.

MARYSIA.

Ah przebóg! iakże me serce żal dręczy!

KLARYSSA.

Już więcey o sobie nie myślę! ale iak sądzisz? gdzie się obrócił twoy oyciec?

MARYSIA.

Jako dobroć iego ku nam ieſt nieſkończona, sądze, że poszedł szukać drewek, iak nam obiecał.

KLARYSSA.

Day Boże!... Ale nie śmiem sobie obiecywac.

MARYSIA.

Ah! dla Boga! mroz co raz bardziey nas przenika, i srodze dręczy... łzy z oczu płynące zlodowaciały mi na twarzy! a ręce twe matuleńku, ręce dobrotliwe o iakże podrętwiały! o iakże ſkościały! (*bierze ręce matki, chucha w nie i szuka rozegrzać parą uſt i całowaniem.*)

KLARYSSA.

Ktoś nadszedł. Otworz drzwi co prędzey. Ah! może...

SCENA II.

Też same i STARUSZKIEWICZ.

Ogląda wszyſtkie kąty i widząc ściany ogołocone bez żadnych ruchomości mowi.

O ludzkości święta! rodzicielko, podporo, delicye ludzi żyiących! któregożes czasu, i w ktòrey krainie była bardziey zaniedbana? Nieszczęśliwa familio! iako widzę podupadłaś do szczętu, iako i inne com ie dopiero zwiedził.

KLARYSSA,

A to co Mci Panie! ani lody ślifkie upadkiem grożące, ani cienie zapadłey nocy, ani trudy i niewczasy ftaią się hamulcem porywczey W. M. Pana w podźwignieniu nędznych litości.

STARUSZKIEWICZ.

Owszem mogłabyś mię W. M. Pani ftrofować, żem ią od 5. dni nie nawiedził, alež to wina nie serca, lecz zdrowia mego. Nieftety! w tym to wieku moim zgrzybiałym czuie człowiek, że każdy moment ftaie się życia uymą... Atoli wszyftko się kończyć musi... Y same nawet głazy ftarość niszczy, i nie masz nic nieśmiertelnego oprocz iedney cnoty.

KLARYSSA.

Nader szczęśliwi tacy, ktòrych ta cnota nie odftąpiła na tym padole płaczu i nędzy... Jeżeli przeciwności zapamiętałych ludzi do prawidła cnoty pod czas przywodzą, to oftatnia ich nędza od niey też czasem odwiedze.

STARUSZKIEWICZ.

Mam tego oczywifty dowod z trafunku, który mię w tym punkcie potkał... Niosłem do was i do innych w nieszczęściu podobnym utyfkuiących cząftkę moiego ubogiego maiątku. Bo czyliż można lepiey obró-

cić to, co nam zbywa z nieodbitey potrzeby, iak taką przysługą serce nędznych pocieszyć? Aliści człek iakiś nagle mię chwycił. Uważałem, że miał postać chorobą zemdloną, i oczy alteracyą pomieszane, powtorzone ięki i stękania gwałtowne mowę mu tamowały.....

MARYSIA.

Jaka bezbożność!

STARUSZKIEWICZ.

Powoli moia śliczna panienko! nie wątpię, że równie usta twoie nie są skłonne do pohańbienia, iak serce do nienawiści... Wielem przeżył! wskróś zwykłem geniusz i skłonności ludzi przenikać, i uważam z ciężkim żalem, że wstecz przeistoczyli ustawy natury.. Ludzie cnotliwi, co się ustrzegli tey zarazy, naybardziey podpadaią stosom nieszczęśliwości, któreby powinny bydź karą bezbożnych. Codziennie widziemy, że człowiek dobry, poczciwy, drogo opłaca swoię rzetelność, i staie się ofiarą swoiey sumienności... Trafi się, że podupadnie, że zachoruie, że go gwałtowne potka nieszczęście, iako się aż nazbyt często przytrafia, tedy nie wie gdzie się obrócić, aby wyżebrał takie przysługi, iakie sam wszystkim bliźnim wyświadczał. Wzgarda od swych krewnych, przyiacioł, sąsiadów naywiększą dla niego bywa męczarnią;

chcąc iey uniknąć, tai się i ukrywa, a tak bywa zagrzebiony w swych niedostatkach. W tym głod mu się da we znaki, rozum go odstępuie, zmysły mu się pomieszaią, uda się do rozpaczy, i przyidzie do tego, że ręka iego stanie się złoczyńcy podobną, choć ieszcze serce cnotliwe... Tak mi się widzi, że ten o którym mowiłem, człowiek w podobnym znayduie się stanie. Jmaginuy sobie W. M. Pani, że potkawszy o dwa kroki odemnie niewiastę iakąś starą płaczącą z głodu, dał iey cząstkę tych, które mi wydarł chlebów na poratowanie (iako iey powiedział,) głodem zemdlonych dzieci swoich; i tę cząstkę nad potrzebę swoię zbywaiącą (iako iey rzekł,) że bez tego na nię trafienia, miał był wolą oddać mi nazad... O! iakże ta niewiasta błogosławiła owego człeka! Day Boże! żeby to było ze skutkiem, którego on godzien

MARYSIA.

Jakże mię żal bierze tych dzieci, ktòre pokarmu dostały przez zbrodnią. Co ia tobym wolała umierać z głodu.

STARUSZKIEWICZ.

Pięknie bardzo!... Masz tu W. M. Pani córkę ktòrey sentymenta są wcale wspaniałe. Godna i miłości i uszanowania. Skarb znaydzie, komu się dostanie w dożywotnią przy-

przyiaźń... Adieu moie Państwo, tak odległa ztąd moia ſtancya, że muszę się gwałtem oderwać od tey rozmowy, w ktòrey panuie cnota, abym wam też prędzey przyniosł co do wiktu i pożywienia.....

SCENA III.

Ciż sami, i KOCHANSKI *nadchodzi.*

STARUSZKIEWICZ.

Co widzę! moy syn kochany.

KOCHANSKI.

Ah! Oycze łaſkawy, ponieważ cię spotykam w tym domu, iuż mi wszyſtko wiadomo, iuż nic nie tayno. Przyiaciel moy w ubòſtwie... Familia iego w niedoſtatku...

(*Klaryssa i Marysia pomieszane zdumiewaią się.*)

STARUSZKIEWICZ.

Pisałeś do mnie synu, żeś dopiero miał ſtanąć za tydzień.

KOCHANSKI.

Prawda Oycze dobrotliwy, ale pewna okoliczność wymagała tu bytności moiey na dzień iutrzeyszy. Do tego serce mi podało ten fortel, żebym cię tatulu znienacka przywitał nieoczekiwanie; iakoż byłem w ſtancyi,

alem cię nie zaſtał. Atoli na dobre wyszło, gdy cię tu zaſtaię w kompanii moiey ulubioney kochanki, ku ktòrey razem oświadczam głęboki respekt, miłość i dozgonne przywiązanie. Ah! Oycze serdecznie kochany! przypomniy sobie, żem ci tysiąc razy wspominał o panience w cnotach niezliczonych wydoſkonaloney, i takiey, żeś poczytał, za rzecz do wiary niepodobną. Otoż to mowiłem o tey Marysi, ktòrą tu masz przed oczyma swemi. *Marysiu*! passyami kochana Marysiu! racz się przyłożyć ze mną z prośbą do nòg Oyca, aby nam podał rękę do dozgonnego szczęścia naszego. Jeſt to przykład dobrych rodzicòw, iako ty ieſteś wzorem cnotliwych panienek.

KLARYSSA.

Panie Kochańſki, już ci więcey nie można zataić sekretu. Nieszczęśliwe przypadki, ubòſtwo oſtatnie, a co ieszcze dotkliwszego, wſtyd sromotny roztargnęły wszelkie wiezy między W. M. Panem i familią przyiaciela W. M. Pana. Rowność urodzenia przynaymniey wymaga iakieykolwiek proporcyi, a nam na wszyſtkim zbywa, i wszyſtkie co tylko bydź mogą, ogarnęły nas nieszczęśliwości. Biada! są ieszcze i inne przyczyny, ktòre W. M. Pana oddalonym bydź przymuszaią od moiey còrki, a ſkoro się dowiesz

W. M. Pan, wzdrygnąć mu się przydzie; a bez pomocy.

KOCHANSKI.

Ah! nielitościwa na serce moie Klarysso! coż mi to powiadasz?

KLARYSSA.

Każe ustąpić córce do alkierza, i sama do siebie cicho mowi.

Alboż po oddaleniu iey zbędę ciężaru, który mię tłoczy.

KOCHANSKI.

Ah! Oycze dobrotliwy! ty naylepiey znasz wszystkę dotkliwość duszy moiey, bo ta iest twoiey edukacyi skutkiem, pozwol mi, żebym na łonie twoiém wylał ciężkie żale i łzy gorzkie... śmiercią przypłacić przyidzie, ieżeli mi odmowiona będzie Marysia.

STARUSZKIEWICZ.

Synu kochany, iakże mię ta twa miłość (co ci iest męczarnią,) dręczy! nie dla tego to mowię, żebym surowy obyczaiów cenzor, iako więc w wieku podeszłym bywa, przymuszał cię do odstąpienia wcale twoiey skłonności. Jednego iesteśmy zdania obadwa, że świat nie ma sowitszego błogosławieństwa Boskiego, nad białogłowę cnotliwą i pięknych obyczaiow, iaka iest Marysia, która twe zniewoliła serce; atoli uważać trzeba, że świat ma swoie prawa, swoie ma-

xymy i zwyczaie, iże ubóstwo i niedostatek ma swoie nieprzyzwoitości. Powinieneś synu mieć wzgląd na familią, utrzymywać przystoyność twego urzędu, a wiesz dobrze, żem się iuż wyzuł z bogactw.

KOCHANSKI.

Ah! Oycze kochany! nie uważay tych lekkomyślnych korzyści, co mydlą oczy ludziom pospolitym i gminnym duszom, a wyciskaią politowanie u ludzi poczciwych. Wszakeś mię oycze sam nauczył, abym ie miał w pogardzie. Co do urzędu mego, ten nie wymaga zbytków i pompy. Wszakże ciebie samego czci godny oycze, niemniey czczą i szanuią ludzie, chociś potrzebom nędznych i podufałych oddał w ofierze fortunę twoię, zamiast co inni łożą na cugi, na łowy, na ekwipaże, na przepyszne pałace i kosztowne ruchomości, chcę cię i w tey cnocie naśladować Oycze cnotliwy; ośmielę się tak pomiarkowaną kontentować się kuchnią, iaka iest twoia bez zbytków, bez stołowników podchlebnych, ale uczciwość, skłonność do dobroczynności i zgoda zawsze u mego mieścić się będą stołu, i iak na straży otoczą Marysię. Opływać będę w radości i serca delicye. Nieustannie myślić sobie będę, nieustannie mowić będę Marysieńce, mowić będę i przyiaciołom: miłości ku mnie kocha-

nego, a wzaiemnie kochaiącego Oyca winienem życie moię, winienem chwalebne obyczaie moie, winienem pomyślność zupełną i ukontentowanie życia. Ah! Oycze! izaliż się zawiodę na tey nadziei?

STARUSZKIEWICZ.

Takiemi iakie opowiadasz sentymentami, każdy syn (mowić się może,) czci siwe włosy Oyca swego. Temi wyrazami sprawuiesz, że zgrzybiały Oyciec puszcza w niepamięć i dolegliwości ſtarego wieku, i okropność zbliżaiącey się śmierci. Ah! moie kochane dziecię! wiesz sam lepiey, żem nigdy nie użył zwierzchności nad tobą oycowſkiey, tylko abym od serca twego oddalił dwoiaką poczwarę: niecnotę i zasmucenie. Wszyſtkie moie myśli iednoſtaynie zmierzały do szczególnego końca twego zupełnego ukontentowania. Oświadczasz mi drogę, która cię doprowadzić może do szczęścia w życiu pomyślnym, pozwalam tedy, abyś do niey zmierzał, ale po doyrzałym roztrząśnieniu, i po wydźwignieniu z tey złey toni, tey to uczciwey familii, którey nie trzeba mi tu zalecać twoiey szczodrobliwości. Adieu moie Państwo, (*zaświeca latarkę w lampie.*)

KOCHANSKI.

Ah! Oycze! Oycze nayukochańszy! i iakichże słów zażyć mi przyidzie na wyraże-

nie nieſkończoney moiey wdzięczności. (*ręce mu całuie i nogi ściſka*)

STARUSZKIEWICZ.

Puść mię synu..... śpieszno mi wziąć na examen służalca mego należy, co mię odſtąpił, gdy mię attakowano na ulicy.....

SCENA IV.

KLARYSSA, KOCHANSKI.

KLARYSSA (*cicho*)

Służałec go odſtąpił!... a moy mąż nie wraca się..... O! Boże! i ktoż mi doniesie, co się z nim dzieie!.. (*głośno*) Mci Panie Kochańſki, ach! w iakiey zaſtaiesz nas porze!

KOCHANSKI.

Ah dla Boga! co takiego się dzieie! W. M. Pani z nędzy wracasz się do doſtatków, a tym bardziey utyſkiwania wznawiasz?..... Coż to znaczą te słowa oyca mego, że go miano attakować na ulicy?.... Czy ieſt ci wiadomy iego przypadek?... Y czemuż doczekać się nie mogę przyiaciela mego? i coż mu się ſtało?... gdzież się bawi oddalony od W. M. Pani małżonek nad wszyſtko ią kochaiący? Ah! co widzę! łzy leiesz kochana Pani.....

KLARYSSA.

Posłuchayże W. M. Pan. Ale nie.. serce zwierza ci się sekretu..... ale ufta wzdrygaią się od wyiawienia.. ah! iakąż czuię przeciwność w sobie! Córko i iakże się wiedzie z braciszkiem twoim?

MARYSIA.

Ah! nieftety! odrzuca pokarm niby truciznę... Nudzi sobą... łzy toczy. (*odchodzi.*)

KLARYSSA.

Jakżem nieszczęśliwa matka! ftrach mie ogarnia!... Staie mi ow noż na pół w wnętrzności wrażony... Ah! iakieś mam przeczucie, że ftracę synaczka! (*ftaie bez ruszenia się z rękami do nieba podniesionemi.*)

KOCHANSKI.

Ah! mocny Boże! Y także dzień dzisieyszy ieft dniem twego gniewu? Nic nie widzę tylko obiekta okropne i trwogę wzbudzaiące. Tylko co tu ftawam i do nóg kochanki upadam, widzę ią dużo pomięszaną, i iakąś taiemnicę przedemną zachowuiącą..... Wyszedłszy ztąd napotykam z iedney ftrony obywatelów życie przed pożarem ognia nagłym ledwie ratuiących, z drugiey ftrony dwoie dzieci nagie na ulicy, które tęgi mroz o śmierć przyprawił..... Spieszę tu serce maiąc ściśnione, i rozum niepomyślnem zaprzą-

tniony przeczuciem, i spotykam iakiegoś winowaycę do więzienia prowadzonego.

KLARYSSA (*przychodzi do siebie.*)

Winowaycę mowisz W. M. Pan? i coż to był za człowiek?

KOCHANSKI.

Ah! kochana pani! i ieſtże potemu czas użalać się nad niedolą cudzą, kiedy W. M. Pani czuiesz dolegliwości własne domowe?

KLARYSSA.

Mam w tym przyczynę.. koniecznie chcę wiedzieć, co to był za człowiek.

KOCHANSKI.

Y za coż się W. M. Pani tak bardzo za nim interessuiesz? raczey idźmy poratować iey synaczka.

KLARYSSA.

Czy wiesz W. M. Pan przynaymniey o co był obwiniony?

KOCHANSKI.

Tylkom te słowa słyszał od iednego z żołnierzy..... Pożal się Boże! o to szło tylko, że chciał od śmierci wybawić swą dziatwę. Pospolſtwo co się zbiegło, a zwłaszcza niewiaſty wielkim krzykiem trwogę buntu czyniącym poczęły wołać: daycie mu pokoy, puśćcie go wolno, dla poratowania dzieci to uczynił... Szemrano coś, że iakiś ſtarzec.....

KLARYSSA.

Ah! co słyszę! iuż wątpić nie mogę, że to był mąż moy.

KOCHANSKI.

Ah! co słyszę! o Boże! moy przyiaciel kochany? ah! iakież moie nieszczęście!

KLARYSSA.

A ow ſtarzec to był twoy Oyciec. Ah còrko! mizerna còrko!... Twoy Oyciec wiecznie przepadł.

MARYSIA.

Ah! ah matuleńku!

KLARYSSA.

Zgubił się marnie, aby nas pokarmem ratował.

MARYSIA.

Ah oycze!... Ah oycze!... Ah tatuleńku kochany!

KOCHANSKI.

Jakże fatalna moia podroż! iakże niepomyślny powrot! i czemuż dniem przynaymniey iednym nie uprzedziłem te przypadki nieszczęśliwe.

KLARYSSA.

Ah mężu!

MARYSIA.

Ah oycze!

KOCHANSKI.

Ah przyiacielu!

} wszyscy razem.

KOCHANSKI.

Ah Marysiu! ah Klarysso! gdyby był iaki pocieszenia w tym przypadku sposob....

KLARYSSA.

Nie szukam, ani przyimuię żadnego pocieszenia. Tracę nieſkończenie kochanego męża. Podobno przyidzie utracić, i wnętrzności moie dzieci nieporównanie kochane..... Tracę męża, ale iakim hańbiącym sposobem! Ah! tak ieſtem zawſtydzoną i pomieszaną, żebym się raczey chciała ukryć i utaić w podziemnych lochach (*odchodzi.*)

SCENA V.

MARYSIA Y KOCHANSKI.

MARYSIA.

Y także nie przywrócisz mi mizernego Oyca Boże Wszechmogący!.. Y także mi Oyca nie przywrócicie Sędziowie namieſtnicy sprawiedliwości, opiekunowie ubogich!

KOCHANSKI.

Mam przed oczyma wizerunek cnoty prześladowania znoszącey! śliczna a smutna Marysiu, mięszay twoie łkania z memi ięka- mi; nie lękay się powierzyć i poruczyć tym rękom. Nieſtety! tym rękom, co miały się

otwierać do uściſkania cię z czyſtey miłości, a nie do dźwignienia w uciſkach z litości.

MĄRYSIA.

Ah! ledwie żyię! tchu mi nie ſtaie... dusza mię odbiega..... śmierć mi zaziera w oczy. (*omdlewa.*)

KOCHANSKI.

Nigdy me serce nie było ku niey tak nachylone! iakże nadobna chociaż zemdlona! Marysiu!... Marysiu... kochana Marysiu! i nie otworzyszże oczu? kochanko moia, arcykochana Marysienku!

MARYSIA.

Jakieś słodkie pienia odzywaią mi się w sercu! (*spoyrzy na Kochańſkiego z zadumieniem.*) Ah iakże bolesne odeckienie! Marzyło mi się, żem spoczywała na łonie oyca, a ia na łonie kochanka, na którego iuż patrzyć nie godzi mi się.

KOCHANSKI.

Co mowisz Marysiu? to serce, które całe sobą napełniasz, czy może knuć krzywoprzysieſtwa? Jzaliż Kochańſki puści w niepamięć przysięgi, przeto że na Marysię wszyſtkie nieszczęścia spadły?.... Niechby mię wprzód.....

MARYSIA (*przerywaiąc.*)

Słyszałeś W. M. Pan co rzekła matka! Ja nic przeciwnego iey woli nie słucham. Jdź

W. M. Pan do domu, i oyca swego uszczęśliwiay swą bytnością..... Mnie należy ięczeć nad przypadkiem mego bez świadka..... Jdź kochany panie Kochańſki... Jeżeli ieszcze masz iſkierkę iaką miłości ku mnie, to nawiedź iutro ubogą matkę przed świtaniem.

KOCHANSKI.

Jutro... Dzień iutrzeyszy będzie dniem w życiu całym moim nayokropnieyszym... Jutro przed świtaniem nie pomyślę o tobie moia Panno bez wſtrętu! ah! nieſtety! iutro ſtanę się w oczach twoich nayniewdzięcznieyszym i naynienawiſtnieyszym!

MARYSIA.

Ah okrutniku! i tyżeś ważył się bydź delatorem tey sprawy?

KOCHANSKI.

Bynaymniey Marysiu. Nazbyt szanuię życie ludzkie, i dałby Bóg, aby Oyczyzna moia naśladowała pewnego narodu, u którego nigdy krew ludzka nie bywa wylana na placu śmierci.

MARYSIA.

Prawda można łaſkawość wyczytać na twoim czele, i serce twoie ieſt iey świątnicą, i zawsze będzie.. ale coż ma zazwiązek dzień iutrzeyszy z moią ile ku tobie nienawiścią?

KOCHANSKI.

Y ieſtze to w mocy ludzkiey dać odpor takiey pokuśie? ah Marysiu! uznasz, że moie nieszczęście równa się wcale twoienu. Jutro iedno ze dwoch: albo odſtąpię sprawiedliwości, mego urzędu, moiey czci, sławy i moiey przysięgi, albo oyca twego na karę osądzić muszę, gdyż ieſtem iego sędzią.

MARYSIA.

Ty zaś sędzią mego oyca?

KOCHANSKI.

Mogłbym się umknąć od tego sądu. Y podsędek mogłby zadosyć uczynić tey funkcyi surowey, lecz potrzebney; ale ktoż ma prawo dyspensować mię, abym nie był sprawiedliwym przysięgę zachowuiącym? ktoż ma prawo uwolnić urzędnika na publiczney funkcyi będącego, od wykonania swego urzędu? Woiownik fortecy dobywaiący czy może się cofnąć dla uniknienia pewney życia utraty? powinności sędziowſkie izaliż podpadaią odmianie rożnych przypadkow? Y także temu ma służyć tytuł wspaniały oyca ludu, opiekuna obywatelów, który się im nie użycza, tylko w rzeczach łatwych, miłych i swym interessom przygodnych? J iakaż będzie rożnica między takim sędzią, a między winowaycą, który nie zasłużył na karę, tylko przeto, że szedł za powodem namiętno-

ści, że nie dał odporu chuciom, że nie szedł proftą, ale krzywą drogą za cnoty prawidłem? Tak ieft nie inaczey; prawy sędzia sprawiedliwości opiekun, ma bydź podobnym do słonecznego światła południowego, ma mieć oko na całe plemię ludzkie, wszyftkim żyiącym ma dodawać czy promieni czy cienia, ożywiać, czy palić, orzeźwiać, czy niszczyć i gubić. Co mowię gubić? kogo, kogo zaś gubić? ah! com pomyślił nieszczęśliwy człowiek! czy mamże wzgląd, i rozważam ofiarę, która się gotuie pod miecz sądowy!

MARYSIA.

Zadziwienia moie równaią się żalom moim... Y także Kochańfki dekretować będzie naylepszego na świecie przyiaciela swego?

KOCHANSKI.

O przyiaźni święte imię! węźle poświęcony dusz wspaniałych, węźle tak memu sercu upodobany! ah! iakiż gwałt uczynię naturze, ieżeli mię ścisła powinność przemoże!

MARYSIA.

Y iakże spoyrzysz w sądowey izbie bez wftrętu suchym okiem i czołem surowym na tego nieszczęśliwego człeka? któregoś nigdy nie spotykał bez radości okazywania, bez uścifkania i ucałowania? i coż ci on powie na usprawiedliwienie swoie? Powie

głosem mężnym i słodkim, który ci tyle razy był żywą do cnot pobudką, powie ci te słowa: byłem pożyteczny bliźnim moim, byłem wiernym Królowi i Oyczyźnie moiey, zawsze miałem wstręt i ochydzenie zbrodni wszelkiey, stałem się ubogim ale nie podłym, choroba odięła mi sposoby życia, i osłabiła siły moie, familii moiey schodziło na wszystkim do utrzymania życia, daremnie wzywałem politowania krewnych, pomocy przyiacioł i sąsiadow, natura podała mi rospacz za przewodnika, i tak stałem się winowaycą, przeto tylko, żem nie mogł przestać bydź oycem... Na te słowa iakaż będzie twoią odpowiedź ?... *Musisz dać gardło pod miecz* ? Ah! kochany serdecznie Kochański! te łzy krwawe, które wylewam w twey przytomności, płynąć będą obficiey, a płynące zatrą i zagluzuią dekret twoy feralny, a tak wrócą mi kochanego oyca, tobie przyiaciela, światu zaś całemu cnotliwego obywatela.

KOCHANSKI.

O płci niewieścia! iakżeś powabna! iakże twoia wymowa i dzielna i miła!... Ale ah! iakże i razem niebezpieczna!

MARYSIA (*pada do nóg iego.*)

Nie wspomnę ci tu, że był ten czas, kiedy ci zachował życie, nie wyrzucę ci na oczy serdecznych wzdychań twoich, ani zwy-

ciẽſtwa nad sercem moim słodką niewolą zhołdowanym... Szczególna dobroć natury i serca wspaniałość, powinna wymodz od łaſkawego przy sprawiedliwości sędziego to, na co człowiek gminny i pospolity dałby się nakłonić przez podłość namiętności...

KOCHANSKI.

Wſtań iuż proszę. Tyranko serca moiego... ginę dla ciebie.

MARYSIA.

Ah! maszże ty tyle serca, abyś mogł ſtrofować ięki i żale córki ze ſtrachu omdlewaiącey? tey córki, którą oyciec nader ukochał! Ten głos, ktory się z piersi moich dobywa, ieſt to głos samey natury, a życia nie godzień każdy, co tego głosu ani wydaie, ani go słyszeć chce.

KOCHANSKI.

Owoż twoy oyciec kochany znaydzie u mnie wzgląd..... Ah! cożem chciał wyrzec! Marysiu! masz wszelkie powody żalów twoich: osoby nieszczęśliwe mogą się upokarzać przed sędziami swemi, ale takie prośby i wysłuchania onych podłym czynią każdego sędziego. (*rzuca worek z pieniędzmi i nagle odchodzi.*)

MARYSIA.

Miłyż Boże! i także ucieka odemnie niewdzięcznik! i czegoż się mam spodziewać po

tey

tey ucieczce! i coż on zamyśla? co chce uczynic?... Wszyſtko dobrze uczyni. Zmiękczy się na widok cnotliwego a nieszczęśliwego człowieka, i w tey okoliczności nachyli nieiako praw świętey sprawiedliwości dla praw ieszcze znakomitszych, bo samey natury i ludzkości wrodzoney... Kochańſki zbawicielem będzie mego oyca! ah! iakaż to dla niego chluba w oczach Marysi! Już miłość osoby iego wszyſtkie przewyższyła sentymenta moie, ah! czemuż nie mam ieszcze drugiego serca, żebym mu i to w zupełną oddała ofiarę?

SCENA VI.

KLARYSSA y MARYSIA.

KLARYSSA.

Przybyway Marysiu! Przybyway co prędzey.

MARYSIA.

Ah moia matuleńku! gdybyś wiedziała..... Kochańſki...

KLARYSSA.

Kochańſki ieszcze nie ieſt naszym, więc nie masz co o nim myślić, kiedy twoy braciszek w oſtatnim życia schyłku.

MARYSIA.

O Boże! moy braciszek! i takżeby przyszło postradać braciszka?

KLARYSSA.

Ale coż mu powiemy? Napiera się koniecznie pożegnać z oycem. Ustawicznie i nieutulenie woła: Proście do mnie tatula, niech go uściskam i ucałuię, niż umrę. O! synaczku kochany, nie samemu ci umierać przyidzie. (*odchodzi.*)

AKT IV.

SCENA I.

KŁARYSSA Y MARYSIA.

KLARYSSA (*zapłakana.*)

Ah Marysiu! Marysiu! i na coż mi się naprzykrzasz? i gdzież mię prowadzisz? Y ieſtże iaki na świecie kącik, żeby mię w nim odſtąpić miały żale i troſki?

MARYSIA.

O nader nieszczęśliwa matko! zmiłuy się sama nad sobą, a podź za mną.

KLARYSSA.

Niech ieszcze uyrzę syna mego, kochanego synaczka mego, iedynaczka mego!

MARYSIA.

Y coż ci za upodobanie paść oczy martwym iego ciałem?

KLARYSSA.

Serce iego sercem moim okryię.. Przywrócę mu dech łkaniem moim i iaką gorącey miłości iſkierką! Jeszcze oczęta obeyrzą się miluchnie ku mnie... Obaczy mię i pozna, i uweseli ſtrapioną matkę... Ta matka zanurzy oſtatni raz chciwe spoyrzenia w duszy iego wychodzącey...

MARYSIA.

Uſta twoie matko tak częſto ſkleione z uſtami dziecięcia, izaliż ią przyięły w wyiściu! Y ieſtże rzecz podobna ożywić ciało w godzinę po śmierci? gdyby to była rzecz podobna, któreżby dziecię umarło na łonie macierzyńſkim? którężby przyiaciel umarł w uściſkaniu przyiaciela? Moia kochana matuleńku, zaniechay tych korowodów w uściſkaniach twoich równo z ięczeniem twoim. Wszakeś uznała członki ciałka iego już okrzepłe i serce bez pulsu.

KLARYSSA.

Trafia się częſto ludziom, że odſtępuią chorobą oſtatnią złożonych, choć ieszcze nie

wcale umarłych, i że ci umieraią przez niedodanie posiłków... Tak ieſt, synaczek moy kochany ieszcze dycha... Co mowię! oto słyszę, że żąda uyrzeć oyca... Oyca? a on gdzie teraz? i za coż zniknął z oczu naszych? ah biada! domyślam się, Marysiu, rospacz i głod wprawuią mię w iakąś waryacyą! Jużże nie mam synaczka? czuię tę ſtratę przez wſtręt ku temu okropnemu mieyscu, od którego odwracać przychodzi mi ze smutkiem oczy... Czuię tę ſtratę przez łzy, ktòre toczysz.

MARYSIA.

Gdybyż przynaymniey twoie bieg wolny miały. Ale widzę, że nie; wszyſtkie żale twe matuleńku widzę ſkupione w duszy... Ah! iakże mię nie cieszy to przyduszenie i ta pozorna spokoyność! iakże się lękam o twoie zdrowie! ah! w iakążbym poszła poniewierkę nieszczęsna sierota!

KLARYSSA.

Prawda, wszyſtek smutek opanował serce moie, w nim się coraz trwoga wzmaga i natęża, czuię bol nieznośny. Ah córko moia! siły mię uſtaią. (*omdlewa.*)

MARYSIA.

Matuleńka rzuca się w ręce moie, a ia sama ledwie się trzymam na nogach, ah naturo! naturo! natęż mi siły, odwadze moiey wy-

równywnaiące! Boże opiekunie sierot przybądź, przybądź mi na pomoc! Ah lampa zgasła! Jakaż ciemność... Jakaż okropność... Y kiedyż noc ustąpi! Kiedyż się utrapienia nasze!... (*Tu wielkie się staie milczenie przerywane iękami i stękaniami okropnemi. W tym ktoś kołace do drzwi.*)

SCENA II.

Też same i STARUSZKIEWICZ *z latarką.*

STARUSZKIEWICZ (*sam do siebie.*)

Próżno kołacę... i nikt nie przychodzi. Lampa snać zgasła... grube ciemności. Milczenie okropne. Coś upatruię przy gołey ścienie. Ręce przeplatane gołe snać z zimna drżące; ale obaczmy lepiey!

KLARYSSA (*niby ze snu ocucaiąca się.*)

Córko moia, widziszli cień oyca twego?

STARUSZKIEWICZ.

Klarysso! Marysiu! obaczcie się, cofniycie odchodzące zmysły. Zyie Nędzarski, dopierom go widział, dopierom z nim o was rozmawiał.

KLARYSSA.

Jeszcze ledwie świta kochany nasz Dobrodzieiu, a iuż się W. M. Pan udałeś do tego

tu domu, domu płaczu i ięczęnia? O dobroczynny i godny nieśmiertelney wdzięczności sierot opiekunie! coż się dzieie z moim mężem? co czyni w okropnym tarasie naypoczciwszy a oraz naynieszczęśliwszy obywatel?

STARUSZKIEWICZ.

Oto W. M. Pani sam donosi (*oddaie List.*)

MARYSIA.

List od mego Oyca! Ah! niech go stokroć ucałuię:

KLARYSSA.

Patrz Córko! że ieszcze wilgotny od łez przez niego wylanych.

MARYSIA.

O! nayukochańsza Matuleńku! gdybym śmiała... aby był głośno czytany... Zdałoby mi się słyszeć głos iego, ten to głos tak mi miły, tak wdzięczny.

KLARYSSA (*czyta, a Staruszkiewicz się odwraca.*)

„Pan Bog patrzy na serce moie i iego „skrytości, a to serce dotąd bez zmazy... „żadna go boiaźń nie trwoży, żaden go su„mnienia robak nie gryzie“ (*sama sobie przerywa:*) Ten ci to iest Trybunał wewnętrzny w nas samych, o ktòrym nie wiedzą Sądy powszechne (*czyta:*) „Idę pod sąd nie„śmiertelnego Sędziego, ale z wielką ufnością,

„że mię lepiey osądzi Bóg Sędzia naywyż-
„szy... Idę z wyznaniem samey prawdy, idę
„z poddaniem się dobrowolnym prawom
„Oyczystym, idę na śmierć".

MARYSIA.

Ah! iakie tyraństwo! łudzić mię próżną nadzieią (*to wyrzekłszy twarz zasłania fartuchem, a Klaryssa czytanie kontynnuie przerywaiąc iękami.*)

KLARYSSA.

„Idę na śmierć (*czyta*) nieodbity iest
„los mego nieszczęścia. Oddaię ci ostatnie
„pozdrowienie, przyimiy ostatnie uściskanie,
i moim imieniem pożegnay syna i córkę naszę" (*na to słowo (Córkę) Marysia pocznie ryczeć z żalu zawsze zasłoniona. Klaryssa chce list daley czytać, ale każde iey słowo iest przerwane wzdychaniem i ięczeniem.* „Niech
„twa ręka otrze łzy z oczu naszych ubogich
„dzieci. Powtarzay im codziennie, że ich
„Oyciec życia postradał dla zachowania zdro-
„wia swoim dziatkom i z Matką!... że życie
„iego było bez nagany i winy dobrowolney...
„Ze zamianą za hańbę swey śmierci, zosta-
„wuie im pobudkę do cnoty. Niech się nie
„trapią tą hańbą, mniemaniem tylko podłe-
„go gminu za taką poczytaną... Uczciwość
„obyczaiow i sentymenta ludzkości staną się
„im tytułem Szlachectwa, a takie szczególnie

„zaszczyca i nie może być nigdy zhańbione...
„Adieu, adieu oftatni raz na zawsze". (*Matka Córka w oftatnim pomieszaniu ftoią iak wryte.*)

STARUSZKIEWICZ.

O mocny Boże! porachowałeś dni wieku mego, niech mi będzie umnieyszona ich liczba, wesołym okiem przyimę nowinę o dniu wieku mego oftatnim, bylem utrzymał przy życiu poczciwego obywatela, a rozweselił nieskończenie zasmuconą iego familią!

KLARYSSA.

Ah! ieszcze W. M. Panu niewiadome wszyftkie moiego smutku przyczyny. Podź W. M. Pan za mną, a przyłoż plafter na ranę serca nieszczęśliwey Rodzicielki.

STARUSZKIEWICZ.

Ah! co widzę! i także śmierć okropna syna, łączy się z hańbą śmierci Oyca?

KLARYSSA.

Z hańbą zaś? Smierć syna iuż zgluzowała hańbę Oyca. Synaczek moy umieraiąc naylepiey usprawiedliwia obwinionego Oyca. Ah! niechże przynaymniey otrzyma urodzeniu swemu przyzwoity pogrzeb! Ale co mówię! Nic się nie dzieie bez pieniędzy! tylko sama cnota nie przynosi zyfku.

STARUSZKIEWICZ.

Serce mi podaie pewny sposob, który się nam udać może. Podź W. M. Pani ze mną, kareta, ktòrą tu zatrzymałem, u bramy nas czeka. Proszę z sobą.

KLARYSSA.

A czyż mogę oczom ludzkim pokazać się tak, iak wyglądam?

STARUSZKIEWICZ.

W. M. Pani postać właśnie iest przyzwoita prośbom ulitowania wyciągaiącym. Pospolicie ludzie w honorach i dostatkach opływaiący, bywaią nielitościwi i pogardzaiący, przytomność człeka nieszczęśliwego wstręt im i odrażenie czyni; atoli znayduią się i tacy (ale przyznam się, że ich bardzo mało) którzy nie słyszą utrapionych ięku, żeby sami z użalenia ięczeć nie mieli; których każde cudze nieszczęście przeraża wskróś i dolega, w których sercu każdy utrapiony znayduie pomoc i pociechę. Tąkim cię osobom zalecić myślę, a zatym pani racz żale poskromić.

MARYSIA.

Matuleńku! porzucasz mię samę, i ktoż mię poratuie, od oczu twoich oddalona?

KLARYSSA.

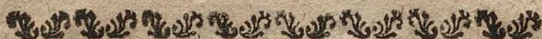
Nadzieia... Nadzieia przywitania się z Oycem.

STARUSZKIEWICZ.

Nie bawmy proszę, każdy moment przyśpieszaiący wydźwignienie człowieka ze złey toni, ieſt kosztownieyszy nierównie nad wszyſtkie ſkarby i kruszce złota. Stanie się co W. M. Pani żądasz.

KLARYSSA.

Pod ten właśnie czas, iak męża mego prowadzić będą na plac, racz Panie kochany sporządzić exportacyą ciała syna: Niech żałobna processya okropnemi pochodniami otoczona, zaſtanowi prowadzenie na plac feralny w kaydanach Oyca. Niech się ten Oyciec od natury zbuntowaney ocucony wzdrygnie, niech do samego Nieba śle narzekania, tym głosem niech będą przerażeni kaci i oprawcy, a w pomieszanie wprawieni spektatorowie; Zgoła niech cały świat będzie w zadumieniu!... Ale ah! co mowię nieszczęliwa! Y coż ci się z tego zawiąże? Mąż twoy iednak umrzeć musi! Ah! szukaymy raczey sposobów iego ocalenia. Córko kochana! z żalem się z tobą na krótki czas rozſtaię, uściſkay mię i ucałuy; iedno pocałowanie uſt twoich niewinnych bardziey me siły pokrzepia, niż pokarm i odpoczynek, bo iuż nie żyię tylko tobą i dla ciebie.



AKT V.

SCENA I.

MARYSIA (*sama.*)

Okropna samotności! ftanieszże mi się grobem? Moie ukontentowanie z rodziców i braciszka przeszłe, moie utrapienia teraźnieysze, i gorzkie przypadkow przyszłych przeczuwania, mieszaią się gwałtownie w smutney imaginacyi. Oftatni kres życia moiego braciszka, nabawił mię okropnością, która mię odftąpić niechce (*zbliża się powoli do łożka brata swego*) Miłyż Boże! iakże wygląda! ufta iego otwarte, które tylekroć z słodką całowałam pociechą. Ah! ftrach mię ogarnia i serce przenika. O śmierci! śmierci! i także to czynisz obrzydliwym, co w życiu było naymilszym?... Coż się przez ciąg dzieie? i także brat fioftrze ftaie się okropnym widokiem? Ależ nieftety! iuż go nie masz... iuż dusza iego z ciała wyszła, za którą dusza moia z piersi się wydziera przez wielkość żalu i affektu!... O miłości! którey winnam dni życia mego nayweselsze, a może i samo

życie, iużże nie ſtawiay więcey przeciw memu przedsięwzięciu swoich powabów! Wyobrażenie kochania równie z poszanowaniem godne, wyobrażenie kochanka mego (*patrzy wzdychaiąc na portrecik w pierścionku*) nieszczęśliwego... nie przynoś pomieszania sercu temu ſtrapionemu, co iuż nie czuie, ani czuć pragnie, tylko to co winno naturze. O! arcykochani rodzice! wam siebie polecam: o Boże dobrotliwy! którego iedynie kocham, nie poczytay mi za grzech, że przymknąć pragnę kilką momentami prędzey termin moy życia, iuż i tak tylu dolegliwościami przybliżony. (*omdlewa.*)

SCENA II.

MARYSIA y KOCHANSKI (*w żałobie.*)

KOCHANSKI.

Stoy przebóg! obacz się! miłość niech doda sił słabości.

MARYSIA.

Co widzę? o Boże! w żałobie! cożto te zwłoki okropne znaczą? Oyciec moy...

KOCHANSKI.

Ah nieſtety! ieſt...

MARYSIA.

Na śmierć dekretowany! i uledz śmierci musi! i tyż to mi tę nowinę ogłaszasz? ty mi się śmiesz ſtawiać przed oczyma? Amancie niewdzięczny! Przyiacielu okrutny! krzywoprzysiężco wiarołomny!...

KOCHANSKI.

Ah! ia nieszczęśliwy! niewiem gdzie się obracam. Uczyniłem sobie gwałt prawie nadprzyrodzony... rozum mi się miesza... Tysiączne niespokoyności serce mi burzą... Czuię miłości zapały w sercu, ale nadziei ochłody nie widzę, owszem się lękam nienawiści... Zyć nie mogę bez Marysi, a Marysia patrzyć na mnie nie może bez zaiątrzenia serca. Wykonałem uczynek, który sprawuie wſtręt mnie samemu. Gdyby się już nie było ſtało, znowuby na nowe powtorzyć przyszło dekret podobny, a z tym wszyſtkim tak mi żal, żem go wydał, iakbym popełnił nayciężższą zbrodnię. Między ludzmi przynosi mi ten poſtępek chwałę sprawiedliwości, ale głos wnętrzny ſtroſkanego serca, srogością go nazywa... O iakże dalekie są miary mniemania ludzkiego od własnych każdego sentymentów! Ah przyiacielu!... przyiacielu kochany! którego równo z duszą kocham, z życiem miłuię, tego o ſtratę życia przy-

prawiam (*mięsza się mocno i prawie od rozumu odchodzi.*)

MARYSIA.

Y od kogoż okrutniku! pragniesz odzyſkać tego przyiaciela?

KOCHANSKI.

Od nieba, od całego ziemi okręgu, od ciebie, co iednym słowem mogłas odwrócić oſtatnią nędzę, która nas teraz zgubiła. Ani mi się tu wymawiay moią nieprzytomnością, bo długo przed wyiazdem moim domyśliwałem się o oſtatnim fortuny waszey upadku; wszakżem o tym natrącał, napomykał, wszakżem się nieraz z politowaniem i ochotą ratowania was oświadczał, ofiary przysług moich czynił, ale twoy wſtyd w tym razie nie potrzebny, twoia nierozsądna ſkromność, i niewczesna delikatność, ktorey urazić obawiałem się, zawsze intencyom moim ſtawała na przeszkodzie, żem nie mogł onych ſkutkiem wypełnić.

MARYSIA.

Przyznam się, teraz dopiero nad przepaścią otwieram oczy... Nie powinnam się była poczytać za niewinną... Y teraz żem była kary godną... ale ieszcze nie wszyſtkie moie przywary są tobie wiadome... Wymaga odemnie ta twoia poufałość, abym ci kaprysy tu moie wyiawiła.

KOCHANSKI.

Y cóż mi nowego powiesz?

MARYSIA.

Powiem ci o nieſkończonych zbrodniach moich... Miłość opanowała to serce, gdy się nam opak fortuna ſtawiała... W ſtroiu zwyczaynym bez zaciągnioney od powabów pomocy, bałam się mniey miłą ſtać memu kochankowi... Ale się dużo myliłam. Miłość iego ku mnie była czyſtą i nie interessowaną... W tym trwaiąca mniemaniu nie zaſtanawiałam się myślą tylko nad przyszłym moim szczęściem; iego attencye, iego cnoty, ſtawały mi za naywiększą fortunę, za nayokazalsze honory, i gdy rodzice moi co raz dążyli do oſtatniey nędzy, mnie samey (słuchay a wzdrygniesz się patrząc na taki tak dziwny natury potwor) mnie samey mowię zdawało się pod ten czas, gdy się oſtatnia Familii moiey i zguba i hańba przybliżała, że miłość... miłość ſtatecznie w tym sercu panuiąca, zaſtąpi wszyſtkie ſtraty, i szkody nadgrodzi.

KOCHANSKI.

Y takaż to ieſt niewieścia zemſta? razem i karać i powaby czynić? Ah Marysiu! Marysiu!

MARYSIA.

Jeszcze to nie wszyſtko... Niewdzięczniku! głodem znużona, żalem i gorzkością napełniona, życiem sobie ſkróciła, i co tu słyszysz, co ci na pół rozrywa serce i łzy wyciſka z oczu, to wszyſtko twym dziełem ieſt okrutniku! to wszyſtko robotą twego kochania, które mię przytrzymuie poniewolnie ieszcze przy życiu.

KOCHANSKI.

Pada iey do nóg, z żalu ryczy, i te tylko na sobie słowa wymusza:

Ah Marysiu! Marysiu! iedyne moie kochanie Marysiu! nie dręcz mi serca dłużey.

MARYSIA.

Już to nie ta co była Marysia, nie znała ona przedtym tak ścisłey poufałości, wyſtrzegała się sam na sam rozmow, posiedzenia; boiaźń panieńſka była iey ſtrożem, a wſtyd i ſkromność załogą. Tu zaś widzisz pannę od rozumu prawie odchodzącą, ktòra w oſtatnim nawet życia schyłku, zapędem miłości ku tobie się unosi, i z tym ogniem dogorywa, który przez cały wiek życia swego chciała mieć w sercu dla ciebie niewygasły... Widzisz tu kochankę hołduiącą sercu twemu, która wzywa twego politowania.. Ah! pokaż mi się tak wspaniałym, iako ieſtem dla ciebie przychylną... Odbierz odemnie to moie ko-

ie kochanie... wyzwol serce moie z więzow miłości... Wyrzucay mi na oczy wſtyd tey oſtatniey podłości, abym padła w oczach twoich, iako ofiara padać przed temi zwykła, na których ubłaganie ieſt wyznaczona.

KOCHANSKI.

Ja zaś miałbym zrywać tak słodki i tak uszczęśliwiaiący mię przyiaźni węzeł? Węzeł ſkrępowany przez tak długie i naytęższe ſtatku twego proby?... Nie myślę bynaymnicy o tym. Cnota zadzierzgnęła ten węzeł, cnota go i umocnić potrafi... Rodzice iuż zezwolili, i powtorzyć swoie zezwolenie gotowi... Podłych to tylko amantów interessowane serca rozprzęgać zwykł niedoſtatek, ale nie nasze bez interessu wierne, bez względów przychylne, i wzaiemnością ſtateczną sobie zniewolone... Ah! ieżeli fałszywe moich ziomków mniemania czy omamienia raczey zdrowego rozsądku, sprzeciwiać się będą moiemu przedsięwzięciu; ieżeli zważanie mego ſtanu, opierać się będzie lubemu z tobą ziednoczeniu się Marysiu! znaiome mi są narody, u których w zawieraniu ślubnych związków, nic nie przynosi wſtydu, tylko sama niecnota, złe, nieprzyſtoyne poſtępki życia, i zelżonego panieńſtwa sromota; toć w tamtych kraiach, w tamtych narodach swobodnieyszego szukać będziem dla siebie umie-

szczenia. Klaryssa zechce nam dopomódz kompanii; Twoy zaś braciszek znaydzie w twym przyszłym oblubieńcu miłość zupełną oyca.

MARYSIA.

Ah dla Boga! alboż nie wiesz, że ten moy Braciszek iuż nie żyie, ſtawszy się naypierwszą głodu naszego i niedoſtatku ofiarą?

KOCHANSKI.

Ah co słyszę! ah iakiż żal ciężki czuię! i także nayukochańsze rodzicom dziecie, nędzy ich i niedoſtatku żałosną uledz musiało ofiarą?... Załosna śmierć zaiſte, ale przyczyna śmierci żałośnieysza... Zyło w uboſtwie i opłakaney doli, zeszło z nędzy i niedoſtatku, tak dobre, tak cnotliwe dziecie, niechże przynaymniey kosztownie po śmierci spoczywa... Nie inaczey; niż bowiem mi przyidzie porzucić Oyczyznę, wspaniały zwłokom iego na wieczną pamiątkę wyſtawię nagrobek, na którym oycowie inni żal Oyca twego, równie na sercu iego, iak na kamieniu grobowym wyryty, a nie mniey i usprawiedliwienie iego poſtępku czytać będą, a czytaiąc, z żalem nie mnieyszym niedolą iego opłakiwać, i rzęsiſtemi łzami głaz ten smutny oblewać będą.

MARYSIA.

Niechże tedy ten twoy nagrobek połączy razem i siostrę z bratem, niech będzie pamiętnym dowodem miłości wraz i przyiaźni. Jdź iuż wspaniała duszo! oddal się odemnie nieszczęśliwey, która ieżeli tchnę ieszcze, to twoim szczególnie tchnę ożywiona widzeniem... Zegnam cię raz ostatni, okropna rozstania naszego przybliża się chwila, która mi z piersi serce wydziera... oddal się odemnie... samo ten obowiązek na cię kładzie politowanie.

KOCHANSKI.

Ah! iakież czuię w sobie niepokoie; ztąd miłość, zowąd zaś rospacz burzliwe w sercu moim rozruchy nieci... Tu mi się zdaie stateczným wzaiemney miłości oświadczaniem uszczęśliwienia mego Marysia szukać: a tu znowu niewczesnym żalów iakichsiś rospościeraniem serce mi raniąc, zgubić mię usiłuie. Ah Marysiu! gdybyś się mogła na takie ze mną odważyć rozstanie! azalibyś też mogła zezwolić na odstąpienie kochaney Matki, która do ciebie ręce wyciąga?

SCENA III.

Ciż sami i KLARYSSA.

KLARYSSA.

Ah! Córko kochana! A ty nieszczęśliwy przyiacielu! czy przyſtoi ci znaydować się w tym domu? (*Kochańſki dużo pomięszany odchodzi.*)

MARYSIA.

Y cóż się dzieie z mym Oycem kochanym?

KLARYSSA.

Bodaybyś nie utraciła z nim razem i Matki! nieſtety! iedna mię w życiu utrzymywała ieszcze nadzieia, a ta iuż odſtąpiła.

MARYSIA.

Y także Pan Staruszkiewicz rzeczy tylko na pozor udawał, i oczy nam mydlił?

KLARYSSA.

Nie czyń mu tey krzywdy Marysiu! Cokolwiek nam obiecywał, z dobrego serca obiecywał; każdy ktokolwiek ma serce ludzkości i politowania pełne, a nie mniey do uczynności ſkłonne, nie może poiąć, aby się mieli znaydować na świecie ludzie nie użyci i niemiłosierni. Król nasz (rzekł mi) ma wnętrzności do ulitowania otwarte nad cu-

dzym nieszczęściem, każdego z poddanych uszczęśliwić pragnie, których nie tak iest Panem, iak Oycem łaſkawym, Oycem dobrotliwym... Na ten ogłos prawie powszechny, ośmieliłam się ſpoyść na pałac. Za zwyczay na dworach pańſkich, zadziwienie się dworzan na widok osoby iakiey żalem napełnioney i ubogo odzianey, zdaie się okazywać, że oni w roſkoszy i wygody opływaiący, taką osobę maią za dzikie iakieś ſtworzenie, albo za podłą i odmiennego od swoiey gatunku duszę. Cożkolwiek bądź, uyrzałam przecież kiedyżkolwiek tego dobrotliwego Pana, padłam mu iak długa do nóg, usiłowałam wzbudzić w nim nad niedolą moią politowanie. Ale czyż można mowić w żalach nieznośnych i ciężkiey boiażni? sądziłam, że podniosłszy oczy we łzach tonące ku twarzy iego, miałam zmiękczyć serce... Alić twarz iego powagi pełna, trwogę iakąś wielką we mnie wzruszyła, żal mię zatym nieukoiony ogarnął, i omdleć na mieyscu przyszło. A tu mię ludzie iacyś natychmiaſt porwą, i trzeźwić wodkami poczną. W tym nasz opiekun P. Staruszkiewicz szepnie mi do ucha ozięble: wróć się W. M. Pani do Córki, i to rzekłszy, zniknął mi z oczu w cizbie.

KOCHANSKI.

Co mi W. M. Pani mówisz? postępek ten dworski nie szykuie się do szczerości Oyca mego.

KLARYSSA.

Uyrzał snadź na czole Króla surowość, którey wymaga święta sprawiedliwość naprzeciw zbrodniom. Uyrzał wzgardę i śmieszki Panów i dworzan, a taki widok czyż niemiał przydusić podniety w nim ludzkości? czyż nie miał przeto zawstydzić się swoiego politowania? wyrzec się nakoniec swoiey nad nami opieki?

KOCHANSKI.

To bydź nie może, Oyciec moy daleki iest od tych kroków, nie iest podobny do takich postępków... Ale oto i sam przybywa.

SCENA IV.

Ciż sami i STARUSZKIEWICZ.

STARUSZKIEWICZ.

Moy syn w żałobie! a po kim że to?

KOCHANSKI.

Po moim przyiacielu. Serce moie nie zwykło się stosować do zdań pospolitych umysłów, w wynurzeniu swoich sentymentów,

a przeto idzie swoią drogą; wzgardziłem mniemaniem pospolitym iakieysiś infamii złączoney z spowinowaceniem się z córką winowaycy poczytanego za złoczyńcę, ani to czynię dla pozyskania pyszney w tym wieku wielkiego Filozofa wziętości... Cnoto! wszechmocna Cnoto! co serce moie z sercem Marysi łączysz, ty sama góruiesz, ty sama mię wynosisz nad ludzkie mniemania podłe, i ludzkości przyrodzoney uwłaczaiące!... Ah Oycze nayukochańszy! zawsze ci była Marysia miłą! dopieroż teraz w ostatnim stopniu nieszczęśliwości będąc, większych po tobie z dobroci serca wygląda względów.

STARUSZKIEWICZ.

Ah Synu! kochany Synu! uściskay Oyca, który się nad tobą i twym postępkiem zdumiewa. Nie mogę nie pochwalić twego zamysłu, pewien będąc, że przez skutek iego przy pomocy Boskiey, między ziomkami sławy nie utracisz... Ale nie bawmy się tym teraz, z interessownieyszą przychodzę ia tu nowiną, która całą tę familią, iak i nas ich przyiacioł niewymowną napełni radością. Oto Król nasz litościwy równie iak sprawiedliwy, mocą sobie pozwoloną, darował P. Nędzarskiemu wszelką karę dekretem przepisaną.

KLARYSSA.

Ah! co słyszę! Jeſtże to prawdą M. Panie Staruszkiewicz?

STARUSZKIEWICZ.

Jſtną ieſt prawdą, wszak ia zwcdzić nie umiem. Uczynił Krol tę łaſkę z powodów naſtępuiących: Ze ów gwałt uczyniony był od człowieka oſtatnią przyciśnionego potrzebą, gdy iuż dzieci iego i żona z głodu miały umierać. Wziął tylko trzy bochenki chleba; i to z tych które dla niego i innych w niedoſtatku będących niesiono, a i z tych zaraz iednym się podzielił, ofiaruiąc go zgłodniałey z dziećmi niewieście. Ze ten któremu gwałt i napaść uczyniono, urazy swey uſtąpił, i sprawy tey popierać nie chciał, lubo po zapadłym dopiero dekrecie dowiedział się, iż mniemanym winowaycą był Pan Nędzarſki. Jnſtygator tylko publiczny z powinności swoiey żądał sądu, i nalegał, iż podług zadawnionego zwyczaiu, wszelki gwałt publicznie uczyniony, śmiercią karany bydź powinien; i na tym fundamencie dekret prawnie był wydany. Atoli na prośbę całego ludu i z przyczyn poprzedzaiących dekret przez Króla uchylony, Pan Nędzarſki za niewinnego uznany, do czci i sławy przywrócony. Spieszy iuż do domu swego, aby przytomnością swo-

ią strapioną pocieszył familią..... Przybyway co prędzey, przybyway kochany Panie Nędzarski!

SCENA V. y OSTATNIA.

Wszyscy Aktorowie mowią razem wesoło.

Ah Oycze moy pożądany! Ah moy Mężu! Ah Córko iedyna pociecho moia! Ah serce moie nieoszacowane! Ah przyiacielu nieporównany!

STARUSZKIEWICZ.

W toni ostatnich nieszczęść i w żalach ciężkich zanurzona Familio! oglądąy iuż z radością Pana swego, wolności, czci i sławie przywróconego... a wiedz o tym, że go Król Pan nasz odtąd w swą bierze protekcyą. Pan ten z przyrodzenia swego łaskawy i dobrotliwy łez swych utrzymać nie mogł, gdym mu nieszczęścia wasze wszystkie przekładał.

Wszyscy razem.

Ah! iaka odmiana! ah iakież uszczęśliwienie! niechże go Bóg błogosławi.

STARUSZKIEWICZ.

Nigdym w życiu moim takiego nieczuł ukontentowania!... Wszyscy łzami się zalewaią, łzy te iednak z radości serca płynąc, nie smutek ale wesołość, nie gorzkość ale

słodycz każdemu przynoszą. Lecz oto i syn moy płacze.

NĘDZARSKI.

Daymy iuż pokoy łzom tym radosnym. Chwila tak szczęśliwa, iaka nam niespodzianie na dniu dzisieyszym zaiaśniała, cieszyć się zupełnie każe bez łez przymieszania...Raczey naypierwsze dzięki oddaymy Bogu, który nas z utrapienia ciężkiego oswobodził, a potym Dobrodzieiowi naszemu, sprawcy naszego po Bogu szczęścia, opiekunowi i łaskawcy. (*tu wszyscy przed nim na kolana padaią.*)

KLARYSSA.

Nogi ci Panie całować, łzami one oblewać z niewymowney radości, patrzyć na ciebie iak na Anioła z Nieba zesłanego będę! ale ah! iakże i te wyrażenia słabe nayczulszey naszey ku tobie wdzięczności!

STARUSZKIEWICZ.

Wstyd mi czynicie Państwo moie, tym waszym ze mną postępowaniem oczom moim niezwyczaynym: przebog! powstańcie z ziemi. Nicem nad to nie uczynił, tylko coby każdy mogł uczynić, i co czynić w takim razie powinien. Wszakże to rzecz przyrodzeniu ludzkiemu istotna, podać w nieszczęściu rękę, ratować upadłego... Czyż może bydź lepsza za przysługę komu nadgroda,

iak ukontentowanie serca, które każdy czuie, ktokolwiek chciał, mogł, i potrafił w czym się bliźniemu swemu przysłużyć!

Kochanski (*do Nędzarſkiego.*)

Ty zaś przyiacielu kochany! czy zechcesz naśladować Oyca mego naymilszego dobroci, który łaſkawie zezwala na złączenie się moie z pieszczotą serca mego Marysią? czy zechcesz równym zezwolenia z swoiey ſtrony ſkutkiem, żądz moich miarę i szczęścia dopełnić?

Nędzarski.

Poczekay Synu! a coż powiedzą uszczypliwych ludzi iezyki, wiedzących dobrze moie uciſki i twoy ze mną poſtępek? Zapewne wszyscy naganią ci te zamysły, złączą się z niemi podobni zdaniem przyiaciele twoi, spikną się kolligaci, i swemi kształtnemi uwagami, pozornemi perswazyami osłabią twoie do nas przywiązanie. W ten czas ty będziesz sobie słodził swobodne życie, i będziesz mi mocno dziękował za tę radę, wybiwszy sobie tę miłość z myśli, którey cię teraz słodkie powaby łechcą... Poczekay kochany Panie Kochańſki, ieżeli czasu pora, i ludzka namowa, czy też cenzura, nieodmieni serca twego, przyrzekam, że ci dam chętnie Córkę za towarzyszkę dożywotnią, i poczytam się nader szczęśliwym, żem ci po tylu nieszczę-

ściach, trofkach i kłopotach powierzył w depozyt dozgonney przyiaźni osobę w życiu moim nayukochańszą.

KOCHANSKI.

Jakże mię tą swoią mową trapisz kochany Przyiacielu, i szczęście moie wraz z życiem truiesz, gdy mi tak przykrą radę podaiesz! rady ia serca własnego słucham, ktòremu ani zdania ludzkie częftokroć mylne, ani cenzury żadne praw przepisywać mocy nie maią.

STARUSZKIEWICZ.

Nie frasuy się moy synu, w ten dzień życia mego nayweselszy. Potrafię ia w to, że ci się zbliży ten prędko moment, który cię zupełnie uszcześliwić zdoła... Tym czasem Mci Panie Nędzarfki racz się do domu mego przenieść z całą swoią Familią.

NĘDZARSKI.

Przepraszam, nie wszyftka się tu ieszcze znayduie (*chcę poyść uściſkać synka, ale go Klaryssa zatrzymuie, w tym drzwi na poł otwarte daią mu widzieć trumnę. Po krotkiey pauzie zadumienia*) Ah! iakżeś nieużyte dla mnie Niebo! życie mi na zawsze goryczą napełniasz przez utratę iedynaka... Ah Zono! kochana Zono! iakże krótką dla mnie ta nagła radość kończy się chwilą!

STARUSZKIEWICZ.

Trzeba cię przyiacielu oderwać od tego widoku. Synu gwałtem zaprowadź przyiaciela twego do domu, za którym dobrowolne tamże oblubienica twoia poniesie kroki. A zaś W. M. Pani czci godna Klarysso! zezwol uczynić mi tę pociechę, którą na schyłku dni moich chętnie oglądać pragnę.

MARYSIA.

O Boże! o cuda twoiey Opatrzności? uwolnienie Oyca od śmierci: opieka dobroczynna Teścia: zupełny serca mego z sercem kochanka związek, zgoła wszyſtko razem w oczemgnieniu. Przebóg! czy to tylko za sen poczytać nie przyidzie!

KLARYSSA.

O dobroci wielu serc ludzkich! i czemuż nie w wszyſtkich sercach powszechnie panuiesz? Niesprawiedliwość, bezprawia, gwałty, ucisſki, uciążliwości, uſtąpiłyby od plemienia ludzkiego za twoim panowaniem, uſtąpiłyby krwawe woyny, i za niemi idące gniewu Bożego plagi.

KONIEC.

PRZYPISKI EDYTORA

Pod niebytność Autora 1768 Roku.

I.

Obraz ten nędzy ludzkiey dotkliwe wydaie
Autora serce, z pisma poznać obyczaie:
Poznać i rękę, która bydź dwakroć powinna
Uczczona: że uczona ieſt i dobroczynna.

II.

Ktokolwiek do litości ſkłonne czuie serce,
Nie może mieć ten Obraz nędzy w poniewierce
Chybaby nieużytym i nieczułym razem
Zgoła był malowanym człekiem, ni obrazem.

III.

Ile ludzi, obrazów tyle ieſt na świecie,
Wszak człek każdy na obraz ieſt Boſki ſtworzony.
Ktokolwiek nędzę ludzką widzi w tym portrecie,
Nad obrazem bliźniego swego niewzruszony,
Ilekroć to więc czyni, Boſki tyle razy
Obraz w sobie zaciera, a nie bez obrazy.

J. E. Minasowicz Kan. Kat. Kijow.
mpr.

